Nr. 47. Poznań, niedziela 24-go listopada 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Umizgi konserwatywne
w Galicyi

Mamy więc niby nowe rządy w Galicyi. „Pod kawkami“ zasiadł jako namiestnik ks. Eustachy Sanguszko, a do apartamentów zajmowanych dotychczas przez niego w gmachu sejmowym wprowadził się hr. Stanisław Badeni. Ta zmiana osób nie oznacza jednak nietylko nowego systemu, ale nie zapowiada nawet różnicy w szczegółach. Hr. Kazimierz Badeni jest właściwie nadal namiestnikiem, tylko że jego polecenia i rozporządzenia podpisuje ks. Sanguszko, który powinien się właściwie nazywać namiestnikiem namiestnika. Przyjmując z niechęcią ten urząd, ks. Sanguszko wiedział, że nie jest w stanie mu odpowiedzieć, gdyby nie kierowała nim inna ręka, a ponieważ hr. Kazimierz Badeni, jako minister spraw wewnętrznych, jest jego zwierzchnikiem, przeto w każdej sprawie ważniejszej będzie on działał według jego wskazówek, co mu tem łatwiej przyjdzie, iż obu tych dostojników łączą stosunki osobistej przyjaźni. Ponieważ zaś wiadomo, iż hr. Stanisław Badeni był bodaj czy nie najważniejszą osobistością w sejmie, bo wpływowi jego ulegali tak dobrze konserwatyści jak liberali, przeto rządy marszałkowskie ks. Eustachego Sanguszki były już poniekąd rządami hr. Stanisława Badeniego. Zostawszy z tajnego marszałka marszałkiem rzeczywistym, hr. Stanisław Badeni będzie, rzecz prosta, szedł dalej w tym kierunku, w jakim działał jako powiernik księcia marszałka i brat namiestnika.

Jeżeli jednak nic się nie zmieni w rządach namiestnikowskich i marszałkowskich, to nowy sejm pod względem ukształtowania się stronnictw przybierze zapewne nową fizjonomię. Już dziś głośno się mówi o zniesieniu tak zwanej „unii konserwatywnej“. Z jednej strony „Czas“ niejednokrotnie przebąkuje, iż pomysł tej unii nie był zbyt szczęśliwym, z drugiej strony p. Romanowicz w artykułach „Reformy“ także przepowiada zgon jej bliski. Natomiast coraz częściej w organach obozu konserwatywnego spotyka się wycieczki przeciw zbytniemu rozpolitykowaniu się. Jest to nowość, jest to wyrzeczenie się dotychczasowych haseł. Przed kilku laty nie chciano o tem nawet słyszeć. Kto patrzał trzeźwo i spokojnie na walkę naszych postępowców i konserwatystów, ten widział, że z wyjątkiem bardzo skrajnych a nielicznych żywiołów, w walce tej małą rolę grała różnica zasad, że więcej niż o zasady szło o osobistości. Przekonany, że tak jest a nie inaczej, że tylko sprytni karjerowicze dla interesów własnych wyzyskują swój wpływ na ludzi dobrej woli, aby utrzymując ich w ciągłej walce wyciągać dla siebie korzyści, założyłem niegdyś „Kuryera Krakowskiego“, w którym wykazywałem, iż ta niezdrowa walka zużywa tylko siły, wprowadza zamęt, przeszkadza pracy około powszechnego dobra. Ale dziennik istniał tylko przez półtora roku, bo rozpolitykowani mężowie galicyjscy nie raczyli na słowa jego zwracać uwagi, jak wogóle zawsze szydzili z tych co mówili i pisali, że na nieszczęśliwe nasze położenie najlepszem lekarstwem jest rozumna zgoda.

Ale jak zaznaczyłem, czasy się zmieniły. Oto co niedawno pisał skrajnie konserwatywny „Przegląd Lwowski“ z powodu setnej rocznicy rozbioru Polski: „Zawsze grzeszyliśmy tem, żeśmy politykowali za dużo, że zamiast pracować wspólnie, dzieliliśmy się na najrozmaitsze polityczne stronnictwa, że zamiast używać sił do pracy około dobra społeczeństwa, traciliśmy je niepotrzebnie na wzajemne kłótnie o polityczne programy, poglądy i hasła“....

I hr. Stanisław Tarnowski zaczyna czule wzdychać do zgody „porządnych ludzi“. „Powtarzamy to od wielu lat (pisze), że stronnictwo, jakiego nam potrzeba to nie stronnictwo demokratyczne, albo arystokratyczne postępowe albo *zachowawcze*, ale stronnictwo porządnych ludzi, takich, którzy z jakiegobądź stanu pochodzą, w jakimbądź zawodzie żyją, *jakiebądź zresztą mają polityczne wyobrażenia.*“ *Obstupui*, kiedy te słowa pana hrabiego przeczytałem, słowa będące umizgiem do Romanowiczów, Rutowskich i t. p. którzy przecież do niedawna byli „złymi synami ojczyzny“, przeciw którym pan hrabia pisał ciągle artykuły i broszury, których warcholstwo było wyklinane przez wszystkie organa jego stronnictwa. I pan hrabia twierdzi, że już *od wielu lat* to powtarzał, iż nam niepotrzebne jest stronnictwo konserwatywne, albo jakie inne, ale stronnictwo ludzi porządnych, *choćby dzieliła ich zupełna różnica przekonań politycznych!*

Kiedy to było, panie hrabio, bo ani rusz sobie tego przypomnieć nie mogę? Kiedy to pan i pańscy przyjaciele uznawali za „porządnych ludzi“ tych, co inaczej na sprawy polityczne się zapatrywali? A toż dosyć było mieć odmienne zapatrywanie na byle jaką rzecz podrzędną, aby zostać w oczach waszych warchołem, dynamiciarzem! Jeszcze przed pół rokiem, komu się nie podobała „Lyssistrata“ pana Koźmiana, to chociażby był jezuitą, dostawał od was nauczki moralne i za „demagoga“ był ogłaszany. A toż trudno sobie wyobrazić, ażeby się znajdował drugi taki obóz, którego przywódzcy byliby tak jak wy zakochani w samych sobie, tak pełni wyłączności, bezwzględności wobec cudzego zdania. Wszystko, coście powiedzieli lub napisali, miało być ewangelią, a kto jeden wiersz tej ewangelii zakwestyonował, tego nietylko wyklinaliście, ale i prześladowaliście, jeżeli to od was zależało. Natomiast każdy człowiek przewrotny, pozbawiony wszelkich zasad, zyskiwał wasze poparcie, jeżeli tylko waszą piosnkę śpiewał. „Porządnymi ludźmi“ byliście tylko wy i wasi lokaje, co za miskę soczewicy sprzedawali pierworodztwo własnych zasad.

Zkąd więc ten zwrot nagły, to wyciąganie ręki do wczorajszych warchołów, demagogów, w których wmawialiście idee przewrotu, rozstroju, nieprzerwalności powstania itd. Oto strach powstał przed Stojałowskim, Wysłouchem, Lewakowskim, Lewakowiczem, strach przed radykałami i ludowcami. Wobec nich gotowi stańczycy przemazać winy tych wszystkich, których o zbrodnię przez dwadzieścia i kilka lat z rzędu pomawiali. Dajcie nam pomoc, bo sami nic poradzimy — oto sens tych czułych słówek do „porządnych ludzi“. I wychodzi to szydło z worka zaraz w dalszych słowach hr. Tarnowskiego. To nowe stronnictwo „porządnych ludzi“ nie byłoby wprawdzie stronnictwem politycznem, „ale gdyby ci różni powołaniem, stanowiskiem, nawet opinią ludzie zgodnie i jednako *potępiali i odpychali to, co przewrotne*, (czytaj: radykalizm) to osiągnęliby tym sposobem i polityczne skutki“. O to więc idzie, aby *odpychali i potępiali*, a pan hrabia za to pozwoli im się przez pewien czas nazywać „porządnymi ludźmi“. A kiedy już odepchną i potępią, kiedy porządny murzyn rzecz swoją spełni, powie im się: Dobranoc, panie Rabagas!

Nie tędy droga, panowie. Prawdę powiedział „Przegląd“, żeście „zamiast używać sił do pracy około dobra społeczeństwa,

tracili je niepotrzebnie na kłótnie o polityczne programy, poglądy i hasła“ — a ja dodam jeszcze i osobistości. Przybieraliście wciąż pozę zbawców ojczyzny, deklamowaliście. pisaliście, kłóciliście się — szło wam tylko o to, aby na swojem postawić. Oblewaliście młodzież zimną wodą, — chcieliście z niej zrobić fonografy, wygłaszające wasze zdania. Prześladowaliście i prześladujecie nawet każde dzieciństwo, na które ojcowskiem okiem tylko patrzeć należało, czego dowodem ośmieszający was proces tornopolski i wołające o pomstę do Boga rozporządzenie ministra Madejskiego, wydalające ze wszystkich szkół uwolnioną przez sąd młodzież, za to tylko, że po dziecinnemu ojczyznę kochała. A kiedy wyście się bawili w zbawców ojczyzny, kiedy otaczaliście swe pałace strażą pożarną w obawie przed ogniem, którego nikt podkładać nie myślał, — tymczasem pożar szerzył się po wsiach i w domach robotniczych, a wyście na niego uwagi nawet nie zwracali. Dopiero kiedy łuna wam zaświeciła i zbliżyła się do pałaców waszych, wołacie o pomoc do sąsiadów, do tych sąsiadów, przed którymi zamykaliście wrota wasze i na których spuszczaliście psów z łańcucha, kiedy koło okien waszych przechodzili. Wyście wciąż lali wodę, gdzie ognia nie było, budowaliście teorye i teoryjki. a tentnu budzącego się życia nie przysłuchiwaliście się. Całe półtora roku straciliście na reklamie dla „Rzeczy“ p. Koźmiana — istne dzieci, którym nowa zabawka się podobała — zastanawialiście się, co robić z Polską. jak ją według waszej formułki urządzić, — choć ta Polska od waszej woli nie zależy i dalibóg, że o poradę do Koźmiana chodzić nie będzie, — a tymczasem inni szli między lud i zgotowali wam miłą niespodziankę.

Nie, nie w taki sposób most do zgody budować należy. Kto pierwszy podaje rękę do zgody a niezgodę wciąż uprawiał, ten musi przyznać się do popełnionych błędów i dać gwarancyę, że zgody chce rzeczywiście. Obie strony muszą uznać, że zawiniły, obie muszą (powtarzam znów słowa Przeglądu) powiedzieć sobie: „Traciliśmy czas niepotrzebnie na kłótnie, dzieliliśmy się niepotrzebnie na stronnictwa, zamiast używać sił do pracy około dobra społeczeństwa“. Zaprawdę, dość mamy politykowania — trzeba raz zogniskować wszystkie dodatnie siły do podnoszenia się ekonomicznie i narodowo. „Pracy, pracy i jeszcze raz pracy!“ wołał w swej mowie kandydackiej nowy prezes krakowski dr. Henryk Jordan, i to hasło, a nie walka o teoryjki, powinno być wypisane na sztandarze wszystkich stronnictw, miłujących więcej ojczyznę i dobro powszechne, niż swoje koterje i swoich ludzi.

K. Bartoszewicz.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Jeden z tych nielicznych księży górnoszlązkich, którzy mimo wiatru, wiejącego z góry, nie chcą przykładać ręki do dzieła germanizacyi, zamieszcza w bytomskim „Katoliku (Nr. 136) taką przestrogę pod adresem swoich konfratrów germanizatorów:

„Czyście już sobie przedstawili skutki tej walki z gazetami i z ludem po ich stronie stojącym? Zakazujecie ludowi czytać „Katolika“ — a podawacie mu „Kuryera Górnoszl.“. Cóż przez to zyskacie? Lud jest przywiązany do „Katolika“, bo widzi w nim dzielnego swego obrońcę już od przeszło 25 lat. Przedewszystkiem robotnicy tak hut jak kopalń trzymają się oburącz „Katolika“, gdyż dobrze wiedzą, iż „Katolik“ ich zorganizował i jest im najlepszym doradzcą. Nie masz pisma na G. Szlązku, któreby tak gruntownie znało i tak dokładnie i jasno traktowało sprawę robotniczą na fundamencie chrześciańskim, jak właśnie „Katolik“. Teraz wy chcecie zatrząść filarami powagi „Katolika“, wmawiając w lud, że to gazeta zła, której trzeba odebrać błogosławieństwo Ojca św.? Panowie, czyż nie widzicie, że pod gruzami powagi „Katolika“ i wy pogrzebani zostaniecie?.... Gdyby powaga „Katolika“ runęła — czyż zdołacie na jego gruzach inną powagę postawić? Zaiste, że nie, bo jeżeli wmówicie w lud, że „Katolik“, jego 25-letni obrońca jest zdrajcą, to lud mniemając, że został zawiedzionym, nie tak łatwo obdarzy inną gazetę swojem zaufaniem.

Nie łudźcie się nadzieją, że lud będzie „Kuryera“ czytał lub inną gazetę jemu podobną. „Katolik podaje ludowi wino, wy odstręczacie lud od „Katolika“; „Kuryer“, wyjąwszy spraw religijnych, podawał dotąd ludowi wodę i wy namawiacie lud do „Kuryera“? Czyż myślicie na prawdę, że lud zasmakowawszy wino, będzie na wasze życzenie wodę pił? Nie, jeżeli go gwałcić będziecie, porzuci i wino i wodę, a będzie szukał gorzałki, aby się nią upoić w nieszczęściu. Że zaś tę gorzałkę już palą dla ludu, o tem przedewszystkiem muszą wiedzieć przewodnicy w obwodzie górniczo-hutniczym. Źle się więc bawicie, Panowie, na waszych zgromadzeniach; walka z gazetami i z ludem nie jest igraszką; tu chodzi nietylko o zdrowe życie ludu, ale i o naszą powagę. „Katolik“ jest w istocie najlepszym przyjacielem i obrońcą ludu; zachwiać jego powagę znaczy i lud i duchowieństwo wystawić na wielkie niebezpieczeństwa.

* * *

Pod tytułem „Sprawa zepsuta“ zamieszcza „Orędownik“ (Nr. 265) szereg ciekawych uwag, dotyczących prywatnej nauki języka polskiego. Z artykułu tego cytujemy ustęp następujący:

„Sprawozdanie Komitetu bydgoskiego, tyczące prywatnej nauki polskiej, przypomniało naszemu społeczeństwu smutną sprawę nauki języka ojczystego. W Bydgoszczy nauka ta ustała, choć pozostało w kasie komitetu około 540 m. Komitet rozporządził funduszem tym tak, że przeznaczył dla gimnazyum polskiego w Cieszynie 150 marek, resztę przeznaczył na upiększenie wielkiego ołtarza w kościele farnym, a dla nauki polskiej nie zachował — ani grosza.

Szkoda, że nie odłączono chociaż małej sumy choćby na Elementarze polskie dla biednej dziatwy polskiej a tej nie brak w Bydgoszczy i prędzej czy później trzeba będzie na ten cel jakiś fundusik obmyślić....

Cała sprawa nauki polskiego czytania i pisania to dziś — sprawa zepsuta.

Po usunięciu nauki języka polskiego ze szkół, skazani na samych siebie, musieliśmy się oprzeć na samopomocy, tj. sami, o własnych siłach jak się gdzie dało, nakłaniać dzieci do nauki i uczyć je...

Nie twierdzimy i nie twierdziliśmy nigdy, żeby tak praktykowana samopomoc mogła zastąpić w znaczniejszej mierze uregulowaną naukę szkolną. Atoli faktem jest, że czego się dzieci w pierwszych latach po usunięciu nauki polskiej z szkół nauczyły, tego nauczyły się na podstawie samopomocy.

Zawiał nowy wiatr, napędził całe mgławice złudzeń i obi tnic i zwiał nam tę samopomoc.

Dano nam uregulowaną naukę polską w lokalach szkolnych za nasze pieniądze; potem odebrano to, naukę polską wciągnięto do programu szkolnego, ale tylko w tych szkołach, gdzie rząd zezwala na polską naukę religii w klasach średnich i wyższych, a takich szkół nie wiele.

Dziś więc jest taki stan, że od samopomocy odwykliśmy, za pieniądze nie wolno nam starać się o naukę polską dla dzieci, a to, co rząd pruski jeszcze w szkole daje — z łaski — to bardzo maluczko i tysiące dzieci polskich pozostaje bez wszel-

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.

(Ciąg dalszy).

Pan Antoni na razie nie wiedział, czy prośbę redaktora uważać za chęć wyzyskania zawartej przy butelce znajomości, czy też cieszyć się z położonego w nim zaufania tak wybitnej osobistości, jak korespondent „Trąby Tarnopolskiej“. Chcąc pogodzić jedno z drugiem, serdecznie podziękował redaktorowi za nastręczoną mu sposobność okazania swojej życzliwości dla przedstawicieli postępowego dziennikarstwa, żałując tylko, że niesumienność lokatorów nieuiszczających czynszów stawia go w tem niemiłem położeniu, że tylko dwudziestoma złr. służyć może. Redaktor uwzględnił to położenie, włożył dwie dziesiątki do kieszonki od kamizelki i pożegnał kandydata, zapewniwszy go o moralnem odwzajemnieniu się.

Taż sama historya powtórzyła się za pół godziny z „jenerałem“, a za godzinę z „mecenasem“. I jednemu i drugiemu nie dopisały chwilowo „okoliczności“, obaj też z powodu niesumienności lokatorów w części tylko zadowolili swą „wyjątkową potrzebę“. Jeden tylko „dyrektor“ nie zjawił się z tego jedynie powodu, że już od rana walczył „pod Fujarą“ za postęp i wznosił zdrowie drugiego kandydata, dra Kauzyperdy.

Ulokowawszy w ten sposób część gotówki, zamyślał pan Antoni przejść się po mieście, gdy tymczasem wpadł pan Filip, zapowiadając wizytę pana Jonasza Chabgelda, człowieka niezmiernego wpływu między obywatelami izraelskimi, a którego według zdania pana Filipa koniecznie dla sprawy pozyskać należało.

Pan Jonasz Chabgeld ukazał się niebawem. Długa czarna kapota, gdzieniegdzie wytarta i pozaszywana, ruda broda rozrzucona w nieładzie, potężna narośl na prawym policzku, ręce długie, delikatne, zaniedbane nieco pod względem czystości, wreszcie poważne wijące się w artystycznym układzie pejsy — wszystko to wzbudziło dla niego sympatyę i zaufanie. Posadzony na kanapie i poczęstowany cygarem, zapytał, jaki interes ma do niego pan Antoni. Zawiązała się tedy następująca rozmowa:

— Słyszałem, panie Chabgeld — rozpoczął pan Filip — że pan cieszysz się zaufaniem u swoich współwyznawców na Kazimierzu?

— Ver vues nist? Dlaczegie nie? U nas kto jest kepełe i ma pieniądzów, to wszystko ma.

— Otóż pragnęlibyśmy pomocy pańskiej — mówił dalej pan Filip — bo uważa pan, pan Gandziarowski chciałby zostać wybranym do Rady miejskiej.

Cziemu nie? Ihr sent doch an Oischer, pan jest taki bogacz, kamienicznik. Kto ma być radnym, jak nie takie godne osobe?

— No, tak, ale uważasz pan, panie Chabgeld, — rzekł pan Antoni — mnie nie każdy zna, zwłaszcza mało mam znajomych między pańskimi współwyznawcami.

— To sze wie. Ja panu co powiem: Pan Salzstangel zrobiał panu dobre rekomendacye. Co tu gadacz: pan radcem będzie. Ale pan wi, co teraz szwiat taki zły, co i honorowe osobe nic nie zrobi bez Rebuche. To takie paskidne czasy.

— My to dobrze rozumiemy — przerwał pan Filip — i dla tego chcielibyśmy wprost wiedzieć, co to może kosztować?

— Ny, proszę panów, to jak do osobe. Ten pan Czasownicki, co temu trzy laty został radcem, dał małe bagatele: 1200 ranesz. Ale to buło auf majne munes, bardzo tanio. Co ja sobie nie nalatał, co ja sze ne narobiał, a wa! Ale z psieprosieniem pańskim, czy pan dobrodżij stańczik?

— Nie, panie Chabgeld.

— U, to źle, to bardzo źle. Co to panu szkodży, dus ist alles eins, jeden djabeł. A żidki widzi pan wolają stańczików jak panów liberałów. Uni sobie mówiom tak: teraz stańcziki górom i my wiemy jak jest

kiej nauki, a jeżeli nie to, to w każdym razie bez opieki szkolnej.

Nie pozostaje nic innego jak nawrócić do samopomocy. Toczyły sie o nie długie, a nawet gwałtowne spory z tymi politykami, którzy nam obiecywali ciągle malowane jajka na owa historyczna „Wielkanoc“. Wszystko poszło z wiatrem i dziś nawet plewy z tego nie ma, o któraby się można po gazetach spierać.

Ale to też nauka dla społeczeństwa, dla ludu polskiego, żeby się nie dał niczem durzyć i żeby w podobnych przypadkach tylko — na Bogu i na sobie samym polegał.

Trzeba nawrócić do pierwszej samopomocy.“

* * *

Z powodu zamierzonego rozciągnięcia ogólnej ustawy o samorządzie miejskim z r. 1892 do miast w Królestwie Polskiem, „Słowo“ pisze co następuje:

Od chwili ukazania sie tej ustawy nie watpiliśmy, że z czasem zacznie obowiązywać i w kraju naszym. Leżalo to niewatpliwie w zamiarach prawo dawcy. Nieznanym był jedynie termin, w którym zamiar ten miał wejść w życie. Dobroczynny wpływ, jaki nową ustawa miejska wywarła na rozwój miast w Cesarstwie, usprawiedliwiałby aż nadto pociagniecie Królestwa pod jej moc obowiazujaca. Skutki jej mogą sie tu okazać tem pomyślniejszemi, iż żywioły, powołane do współudziału w zarządzie, będą mogły korzystać z doświadczeń, poczynionych już gdzieindziej. Obowiązki, jakie, po zrównaniu w tej mierze kraju naszego z guberniami Cesarstwa, spadną na społeczeństwo, nie beda lekkie. Jeżeli mimo to sądzimy, iż sfery obywatelskie, powołane do pracy, podołać im potrafią, to opieramy zapatrywanie nasze na przypuszczeniu, że wzorem dla miast prowincjonalnych byłby w takim razie zarząd miasta Warszawy. Zreformowane władze miejskie zostałyby w Warszawie, dzięki wzorowemu zarządowi obecnemu, wdziecznem do dalszej pracy polem i mogłyby nietylko własnemu przysłużyć sie miastu, lecz także służyć za przykład mniejszym i uboższym gminom. Zadanie tych władz przyszłych byłoby ciężkiem i pełnem odpowiedzialności. Obraz świetnej gospodarki, jaki dzisiejsza Warszawa przdstawia, zawdzieczając ją długoletnim rządom poprzedniego prezydenta swego, czcigodnego jenerała Sokratesa Starynkiewicza, włoży na nie tem wiekszy obowiązek. Miasto, którego budżet, według projektu na rok przyszły, wynosi rs. 4,499,506 przedstawia ogrom spraw i interesów, wymagających znacznego zasobu wiedzy i szczerego oddania sie sprawom publicznym. Tu jednak właśnie oddziaływać powinien zachęcajaco przykład miast w Cesarstwie, które, po uzyskaniu ustawy nowej, znalazły znaczniejsze, niż dawniej, fundusze na cele publiczne i gorliwiej niż poprzednio, mogły zająć się szerzeniem oświaty, spełniając objawioną kilkakrotnie wole Najwyższą. Tą koleją powinny pójść sprawy w mieście naszem. Życie odkrywa przed nami i odkrywać będzie coraz nowe potrzeby. Obok wydatków na oświatę ludu, na zdrowie mieszkańców i na cele dobroczynne, wypadnie myśleć o zaspokojeniu mnóstwa innych potrzeb. Tak ważna dla całego państwa i dla kraju naszego sprawa zaprowiantowania miasta, jako pierwszorzędnej twierdzy, niepoślednie między temi kwestjami zajmie miejsce. A doświadczenia wszystkich krajów mówią przekonywająco, że właśnie ta sprawa najpomyślniej załatwioną bywa przy systemie, opartym na uczestnictwie czynników, najsilniej zainteresowanych, na uczestnictwie tych, o których wyżywienie idzie. Tak się w zarysie ogólnym przedstawia kwestja zastosowania u nas praw, których błogie następstwa odbijają się już dzisiaj na życiu miejskiem w guberniach Cesarstwa.

* * *

O złożeniu mandatu poselskiego przez Dr. K. Lewakowskiego takie wypowiada opinje lwowski „Monitor“ w Nr. 33:

Nie należeliśmy nigdy do bałwochwalczych i bezwzględnych czcicieli dra. Lewakowskiego, wiedzieliśmy, że ma błędy i wady, że brak mu energii należytej, że przeoczył i zaniedbał niejednej sposobności, gdzie właśnie wystąpić należało, — ale w tych czasach ogólnego rozpanoszenia się służalstwa i lokajstwa, sybarytyzmu i nepotyzmu, ceniliśmy dra. Lewakowskiego jako człowieka, który nie oglądał się w prawo i w lewo, który gdy chciał, otwarcie wypowiadał wole swoich wyborców. Ceniliśmy go z tego względu, iż był może jedynym człowiekiem w Kole polskiem, do którego można sie było udawać ze sprawami niemiłemi naszej „hierarchii społecznej“, iż był jedynym człowiekiem w Kole polskiem, który miał odwagę oświadczyć sie za powszechnem, bezpośredniem, tajnem prawem głosowania.

Prawdopodobnie nie rozważył dr. Karol Lewakowski następstw złożenia mandatu. Dr. Lewakowski zapomniał snać zupełnie, że składając swój mandat, wydaje go na pastwę wsteczników, lub zakapturzonych „przełamańców“, których pozycya w stolicy kraju wzmogła sie ogromnie, a uratować ten mandat by się nie dostał w niepowołane rece — dziś zdaniem naszem natrafi na ogromne trudności.

Powody, które go skłoniły do tego kroku, — łatwe do odgadniecia. Ataki płatnych pismaków i jurgieltników klik przeróżnych, którzy napaści swoje od dłuższego czasu prowadziły w obrzydliwy, potępienia godny sposób, w sposób jakiego nawet płatna, żydowsko-liberalna, zgangrenowana do szpiku i kości prasa wiedeńska nie używa przeciw znienawidzonemu przez się dr. Luegerewi. Jurgieltnicy ci wyciągneli cały swój arsynał i w pismach codziennych i humorystycznych usiłowali ośmieszyć dr. Lewakowskiego, Wyciągnięto nawet prywatne rozmowy Lewakowskiego i z nich kuto broń przeciw niemu.*)

— ski.

*) Lewakowski na prośby wyborców cofnął ostatecznie zrzeczenie swoje.

BADANIA NAUKOWE.

Spekulacye filozoficzne.

Trudno wyrzec ostatnie słowo o charakterze filozofii współczesnej, nie zdołała ona bowiem dotąd przyoblec się w jednolitą szatę systematu, pozwalającego objąć jej całokształt, pomimo to tendencye jej są na tyle przejrzyste, że nie utrudniają bynajmniej poznania kierunku, w którym dąży.

Nie mam też zamiaru dawać tu jej zarysu i ograniczam się tylko na szkicowem nakreśleniu poglądów, wypowiedzianych w tej mierze z okazyi zjazdu przyrodników i lekarzy niemieckich w Lubece.

Słyszał czytelnik co o Neowitaliźmie? Nie wiem, kto pierwszy wprowadził słowo to do słownika terminologicznego, ale to pewna, że prof. Rindfleisch oznacza niem tę ideę filozoficzną, którą sam rozwijać się stara. Dowiadujemy się więc od niego, że zadaniem Neowitalizmu jest określenie stosunku, jaki zachodzi pomiędzy siłą a materyą.

Dwie są drogi, prowadzące do poznania i wytłomaczenia istoty zjawisk przyrody. W pierwszej — materya stanowi punkt wyjścia dla badań; druga — odrzuca zupełnie materyę, poprzestając na siłach naturalnych. Obie drogi pono nie doprowadziły dotąd do celu, nie dowiedzieliśmy się bowiem nic więcej nad to, że siła z materyą tworzą pojęcie całości, nie dającej się rozdzielić w żaden sposób, że jednej bez drugiej wyobrazić sobie nie można.

Co by jednak było, gdybyśmy badać zaczęli oba te pojęcia, nie rozdzielając ich, a przyjmując siłę, jako ruch materyi, który ona sama z siebie wywiązywać jest w stanie? Przedewszystkiem całokształt naszego światopoglądu zyskałby olbrzymie uproszczenie, wynikające z różnych kombinacyj jednego tylko elementu, potem łatwiejby nam może było zrozumieć zasadę świata organicznego, nazywaną życiem. Gdyby się udało wszystkie zjawiska natury, nie wyłączając

---

a jak nastąpią liberałów, to może bycz eine bittere Zeit i kiepski rachunek.

— No, ale przecież można usunąć te skrupuły?

— Dlaciegie nie? Ale ja panom co powiem: dla mnie to delikatne sprawe. Mnie już wszyscy znają, co ja stańczik. Mnie i pan staroste lubi, i ten wisoki profesor lubi, a ten taki gruby pan hofrat to mi raz mówiał: słuchaj ty panie Chabgeld, ty jestesz barzo porządni obiwatel. I ja tyż sobie miszlę co dla mnie to jest ka geszeft panów stańczików na szebie gniewacz. Nie, ja tegie interessu na szebie bracz nie moge, — boby był a finsterer Sof, zły koniec. Ale ja panu poszle mojego kolege Landau, to on to panu może zrobicz. On nima takie sprytnie głowe jak ja, on jest a grojser Beheimer — ale co robicz? Ja pana barzo szanuje i chce panu wigodzicz.

Widząc, że trudno będzie w trzech dojść do końca z panem Chabgeldem, wziął go pan Filip na stronę i po półgodzinnej rozmowie zdołał przekonać go o wyższości zasad postępowych i usunąć wszelkie skrupuły zacnego obywatela.

V.

Do tomowych rozmiarów urosłoby nasze opowiadanie, gdybyśmy chcieli prowadzić dokładną kronikę zabiegów pana Antoniego o krzesło radzieckie. Zanotować tylko wypada, iż niczego nie zaniedbano, aby uszczęśliwić miasto, kraj i społeczeństwo wyborem pana Antoniego. Część pracy, nie lwia wprawdzie, ale znaczna, przypadła i pani Antoniowej. Co tę kobietę cichą, spokojną, zamiłowaną w „porządkach domowych“, w maszczeniu chleba głodnym pociechom i przyprowadzaniu do ładu ich toalety, spowodowało do rzucenia się w wir walki wyborczej, — trudno doprawdy pojąć. Było w tem zapewne dużo ślepej uległości dla męża, miłości dzieci, bo stanowisko ojca i ich o jeden szczebel wyżej posunęłoby w hierarchii społecznej, a może wreszcie była i odrobina miłości własnej. Każdy człowiek na świecie ma swą ambicyjkę, dla czegożby ona jej mieć nie miała? Panie z drugiego piętra nazywano „doktorową“ i „profesorową“, na pierwszem piętrze mieszkała obok gospodarstwa „dyrektorowa“. wyglądając z okna pani Antoniowa widziała vis à vis „mecenasową“ i „prezesową“, pani „prokuratorowej“ dała raz przepis na pączki, obok pani „sędzinej“ siadywała w kościele na kazaniu O. Jacka, śmiała się szczerze z niepomiernej turniury pani „adjunktowej“, a nawet na trzeciem piętrze mieszkającą w małej izdebce lokatorkę nazywano „marszałkową“, bo nieboszczyk jej mąż był t. zw. „marszałkiem“ w resursie, czyli po prostu starszym lokajem. Ona zaś tylko przez swoich lokatorów znaną była jako pani „gospodyni“, a po za kamienicą była panią Gandziarowską i niczem więcej tylko panią Gandziarowską. „Pani radczyni Gandziarowska“, to rzecz inna, to już pewna powaga, pewne znaczenie; „całuję rączki pani radczyni dobrodziejki“, mówiłby pan profesor, „jakże zdrowie pani radczyni?“ pytałby sam dyrektor. To ma urok nawet dla bardzo rozumnych kobiet, cóż dziwnego, że miało dla Bogu ducha winnej pani Antoniowej.

Cokolwiekbądź zresztą skłoniło panią Antoniową do agitacyi za wyborem męża, fakt sam został faktem: agitowała jak umiała w domu, w mieście, pomiędzy przyjaciółkami i znajomemi. Obiad się spóźniał, pieczeń była przypaloną, Loluś i Klimcia chodzili zamorusani, kurz leżał po tygodniu na stołach i komodach, szkło od lampy było zakopcone, piasku w piasecznikach zabrakło, „niegrzeczności“ małego Henryczka spoczywały na podłodze, — a pani agitowała! Zmieniła szewcową, modniarkę, krawcową, i poszła do innych, które były w posiadaniu mężów mających prawo głosu. Słowem nie zaniedbała niczego, co kochającej męża żonie w tak ważnej chwili życia czynić należało.

Przyszło raz nawet do awantury. Dowiedziała się, że krupiarka Jęczmionkowska ma dwóch braci głosujących w tem kole w którem miał kandydować jej Antoś. Poszła więc do niej raz, drugi i trzeci, to po mąkę, to po krupy, to po żywność dla ptaków, — i nareszcie znalazłszy dogodną porę, dalejże w dyskurs polityczny. Kiedy po wyłuszczeniu

życiowych, sprowadzić do ruchu atomów, nie potrzebowaliśmy tłomaczenia tego odrzucać, choćby nawet zawierać miało jakie punkty ciemniejsze. Prof. Rindfleisch sądzi, że mylnem jest zapatrywanie, jakoby zjawiska życia polegały na innem ugrupowaniu atomów, niż zjawiska świata nieorganicznego, a za dowód przytacza rozwój bezbarwnej komórki krwi, powstającej z protoplazmy. Czem jednak jest właściwe życie dowiemy się nie prędzej, aż nam kto nie powie, co to jest atom. Wszystkie ruchy obdarzonych życiem indywidyów mają charakter wspólny, wynikający z funkcyi nierozdzielnego związku materyi z siłą. Okoliczność ta jest przyczyną procesu myślenia i całego wogóle duchowego naszego życia. Temu podobnież przypisać należy świadomość człowieka i przekonanie o swej wyższości nad innymi tworami natury. Tem wreszcie tłómaczyć się winna dążność przyrody, mająca na celu doskonalenie się istot żyjących. Poszczególna komórka każdego organizmu żyje tylko dla pożytku wszystkich innych komórek, mając na względzie swoje własne dobro. O właściwej porze zaczyna ona dzieło różniczkowania i rozwija się dalej, tworząc coraz bardziej skomplikowaną całość, która podziw w nas budzić musi. Pod egidą jedności i solidarności komórek przystosowywują się organizmy do nowych warunków i tym sposobem nabierają dzielności do walki o byt. Zasada miłości bliźniego, hasło: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!“, — wrodzona jest istotom żyjącym, ponieważ stosunek wewnętrzny elementów, z których się składają, jest jednocześnie pierwszym warunkiem ich egzystencyi. Najwyższa wolność nie osiągnie się wbrew prawom natury, ale przy ich pomocy!

Taka jest mniejwięcej treść poglądów, które prof. Rindfleisch wyraził w swoim zjazdowym referacie. Nie brak tu ogólników i frazesów, natomiast brak motywów i przykładów. Być może, że pochodzi to ztąd, iż krótki czas, wyznaczony przez uczestników zjazdu, na poszczególne odczyty, nie dozwolił referentom dostatecznie rozwinąć tematów. Sądzę też, że autor nie wywiązał się jeszcze ze swego zadania, gdyż z tego, co powiedział dotąd, nie daje ogółowi sposobności zaznajomić się dokładnie z zasadami Neowitalizmu.

Tej samej kwestyi, z innego wszakże wychodząc założenia, dotyka prof. Oswald z Lipska.

Jest on przedewszystkiem przeciwnikiem naukowego materyalizmu i o atomie, jako pojęciu specyalnem nic wiedzieć nie chce. Dotychczasowy mechaniczny światopogląd, zdaniem jego, nie wytrzymuje krytyki, ponieważ nie daje się sprowadzić do ruchu atomów i tym sposobem wyrazić za pomocą formuł mechanicznych. Niektórzy uczeni, a między nimi Helmholtz, twierdzili, że różne formy przejawiającej się we wszechświecie energii są energią mechaniczną. Zapatrywanie to uwydatnił właściwie Robert Meyer, zalecając przyjąć energią, jako zasadę syntezy filozoficznej, w miejsce dotychczasowej materyi i siły, a kierunek ten nazwał energetycznym.

Aparat nasz zmysłowy reaguje tylko na różnice energii, zachodzące pomiędzy nim, a jego otoczeniem, dla tego np. w świecie, któregoby temperatura równała się temperaturze naszych własnych organizmów, nie bylibyśmy w żaden sposób w stanie rozróżnić zjawiska ciepła. Ponieważ tedy wszystkie wrażenia, jakie otrzymujemy z zewnątrz, nie są niczem innem, jak tylko pewnemi, określonemi stosunkami energii, przeto pojęcie materyi, jako takiej, jest zupełnie zbyteczne. Materya jest rzeczą czysto urojoną, którą skonstruowaliśmy sami w tym celu, aby to, co wieczne i trwałe wyrazić w przemianie zjawisk.

Właściwości realnej rzeczywistości należy przypisać funkcyom energii, gdyż przy pomocy tego jednego pojęcia można sobie już wytłómaczyć wspólność istoty wszystkich przejawów natury. — To, co dzisiaj nazywamy masą, to, co wypełnia przestrzeń jest tylko energią objętości, — siła grawitacyi ogólnej energią położenia, własności chemiczne energią chemiczną i t. d. Zasady tej nie są wstanie naruszyć sprzeczności mechanicznego światopoglądu. Pomimo to są punkty, których zasadnicze twierdzenia energetyki rozjaśnić nie są wstanie.

Bliższe szczegóły, tyczące się powyższego kierunku, znajdzie czytelnik w pracy Helma, do której go też odsyłam.*)

Heidelberski chemik, Wiktor Meyer, stając w obronie materyalizmu, mniema, że w niedalekiej przyszłości uda się dotrzeć do najciemniejszego zakątka teoryi atomistycznej i poznać właściwą materyę pierwotną. Przekonanie swe opiera on wyłącznie na wyniku dotychczasowych badań nad ciałami fizycznemi.

Uważane dotad za najprostsze formy materyi pierwotnej elementy chemiczne, których liczba wynosi 70, nie zawsze uważane były za takie przez niektórych uczonych.

Już w początku bieżącego stulecia sądził Prout, że jeden tylko wodór jest pierwiastkiem w właściwem znaczeniu tego słowa, reszta zaś przedstawia kombinacye różnego układu jego atomów. Jeżeli hipoteza Prouta nie mogła znaleźć dotąd dostatecznego potwierdzenia, to przecież nowsze badania, prowadzone nad własnościami ciał chemicznych, zdają się przemawiawiać zatem, że dzisiejsze elementy są stanowczo ciałami złożonemi.

Nie będę przytaczał całego szeregu doświadczeń, zarządzanych w tym celu, powiem tylko krótko, że okazuje się niezbędna potrzeba poddania skrupulatnej analizie pierwiastków metodą nową, przy pomocy pyrochemii. Metoda ta polega na określeniu gęstości pary elementów w temperaturze niepraktykowanej dotąd, bo wynoszącej 3000°, co wydaje się zupełnie możliwem przez użycie naczyń z *aliazu iridium* i platyny, mogących bardzo dobrze wytrzymać tak wysoką temperaturę.

Meyer sądzi, że tym sposobem osiągniemy rozkład cząsteczki na jej atomy, o których wreszcie coś stanowczego powiedzieć będziemy mogli. Rezultat taki zapewniałby teoryi atomistycznej walne zwycięstwo i trwały byt.

F. S.

*) Helm, Ueberblick über den derzeitigen Zustand der Energetik. — Wiedermann'sche Annalen, Bd. 55, Beilage zum Juniheft 1895.

LITERATURA I SZTUKA.

Sylwetki poetów czeskich.

V.

Proza czeska. — „Santa Lucia“.

Nie popełnię błędu utrzymując, że jeśli poezya czeska korytem płynie względnie szerokiem, powieść i nowella wąskiemi ledwie strużkami szemrzą po łanach piśmiennictwa. Wprawdzie strumyków nowelistycznych dość spora pomyka liczba, zawierając w nurtach swych wijące się kwestye doby ostatniej: smutek dusz, nędzę robotników płci obojga, walkę o byt, wyzysk złotodzierców, bój z żywiołem niemieckim, walkę inteligencyi z ciemnotą, biedę kształcących się wieśniaków, zwłaszcza morawskich itd. — wprawdzie nowelki te nie są pozbawione znaczenia dla mieszkańców nadwełtawskich, a czasem i pod względem pogłębienia i formy, wysuwają się nieco ku przodowi, na szali jednak artystycznej i psychologicznej zbytnio nie mogą zaważyć. Tem mniej mają ku temu prawa powieści obszerniejsze, których ilościowo jest niewiele, jakościowo zaś — według krytyki samych czechów nie sięgają one wyżyn drugorzędnym dostępnych powieściopisarzom.

---

cnót publicznych i domowych swego męża, widziała się blisko wygranej, krupiarka spokojnie odrzekła:

— Nic z tego, proszę pani dobrodziejki, bo moi bracia wedle głosowania są za szewcem Przyszczypkowskim.

— Za Przyszczypkowskim? co też pani mówisz? Toć to człowiek głupi, bez edukacyi, pijaczyna...

— Tylko niech pani nie wydziwia — rzekła obrażona krupiarka — lepszy dobry szewc, jak ten, co nic nie robi i z ludzi żyje!

— Co? — zawołała pani Antoniowa — jak ty śmiesz tak o moim mężu się odzywać?

— Tylko mnie nie tykać! — wrzasła jeszcze silniej Jęczmionkowska. — Widzicie, nigdy tu nie chodziła, nie kupowała, a jak ma interes, to przychodzi. Obejdzie się wesele bez marcepana. Niedoczekanie twoje, żebyś była radczynią!

Tego już pani Antoniowej było za wiele. Spokojna obywatelka zamieniła się w furyę. Nastąpiła szermierka językowa tak dosadna, że ją znowu odstępujemy realistycznym pisarzom. Dodajmy tylko, że nie obeszło się bez charakterystycznego gestu, będącego ostatnim a silnym argumentem, którym krupiarki i pokrewne im zawodem niewiasty posługiwać się lubią. Wszystko to odbyło się szybko, ale znowu nie tak bardzo szybko, aby sąsiadki i przyjaciółki pani Jęczmionkowskiej, zwabione krzykiem, nie miały czasu wziąć udziału „w walce o zasady“. Jak się okazało, wszystkie one należały do stronnictwa „Czasu“, gdyż wszystkie „jak jeden mąż“ stanęły w obronie Przyszczypkowskiego, kandydata obozu stańczykowskiego, za którego też wyborem pisali do „narodu“ odezwy najpoważniejsi mężowie stronnictwa.

I już daleko była pani Antoniowa, a jeszcze ją dolatywały głosy oburzenia, kwalifikujące się do wniesienia skargi o obrazę honoru.

Niemniej jak ona całą tą awanturą był przerażony dostojny jej mąż — kandydat. Czuł, że się stało głupstwo, bo armią z placu Szczepańskiego zaczepiać niebezpiecznie. O ileż przerażenie jego byłoby większe, gdyby już wówczas wiedział, że pani Barbara z Jęczmionkowskich, I-mo vo Kulasińska, siostra stryjeczna obu braci-wyborców i niegrzecznej krupiarki, weszła w powtórne związki z Józefem Cholewą, którego znów siostra rodzona oddała serce, rękę i 2000 złr. kontrkandydatowi Przyszczypkowskiemu. To już nie awantura z krupiarką, ale z całą „familią“, a już dzieje wykazały nam, co „familia“ może i znaczy!!...

(Dokończenie nastąpi).

Prócz piór życzliwiej dla postępu usposobionych spotykamy, — a tych jest więcej — takie, co z rozwojem się liczą za mało. Latami do naszej należą doby, ukształceniem zaś uczuć i widnokręgiem myśli z matkami lub babkami mogłyby iść w zawody. Kilka pism tygodniowych, beletrystycznych nadziewane są stale nowelkami tego pośledniejszego gatunku.

Najudatniejszą czasów ostatnich powieścią jest „*Santa Lucia*“ pióra Wilhelma Mrsztika. Autor maluje w niej młodzieńca Jerzego Jordana, chorobliwie kochającego Pragę, dążącego ku niej myślami, gdy na szkolnej jeszcze siedział ławie, czmychającego do niej poraz pierwszy ukradkiem, bez pozwolenia rodziców, z towarzyszami wielbiącymi ją również namiętnie, by tam — podczas pobytu trzechdniowego rozwulkanić swą krew tak gorąco, że już potem żyć bez stolicy nie może. Praga to raj, zbawienie — to wszystko. O niej myśli i śni. Tam jedyne dlań miejsce do nauki. Tam ludzie muszą być inni, lepsi podług płomiennej wyobraźni.

Jerzy to natura szczera, prosta, uczuciowa, lecz zrażająca się i nieco zacięta. Chłopak to ambitny, samodzielny, nie cierpiący pęt w myśli i czynie, mający wstręt do nauki suchej, sztywnej, do pedantyczności, do wszelkich przepisów i formalistyki. „Oddałeś kartkę od spowiedzi księdzu?“ pytają koledzy. „Po co? wszak widzieliście, że byłem.“ Profesorów ulubieńcem nie był. Wydał im się nadto krnąbrnym i niedbale traktującym przedmiot, a zresztą Jerzy, małomówny, okazujący pewne politowanie dla suchości formy, goniący tylko za myślą, ideą przewodnią, naraża sobie nauczycieli. Gdy np. prof. Koczwara, pyszniący się wiedzą przed uczniami, „którym opowiadał o wszystkiem, co tylko w zakres wykładu nie wchodziło“ — postawił raz pytanie: „Ja, was heisst eigentlich die Numismatik?“ — Jordan wstał i wypowiedział cały artykuł z encyklopedyi Mayera, źródła wszelkich wiadomości profesorskich. W dniu owym o numizmatyce nie było już mowy. Umysł swobodny Jerzego nie mógł też znieść twierdzenia Koczwary, że „student jest jak żołnierz“. — „Student to student, nic więcej nic mniej i basta“ — mówił Jerzy po skończonej lekcyi do kolegów.

Szkołę pomimo to skończył, i choć z klasy do klasy przechodził „przez piec“ lub „przez dziurkę od klucza“, otrzymał świadectwo wcale chwalebne dzięki obecności inspektora, któremu podobały się swoboda myśli i pewność, z jaką Jordan na stawiane odpowiadał pytania.

Po powrocie z Pragi zesmutniał, stał się więcej milczącym, zdenerwowanym i ucinkowym. W szkole mu to nie pomagało. Myślał on wciąż o Pradze i o tem, że po egzaminie musi zrobić w domu rewolucyę, bo rodzice nie mieli pieniędzy, ani też Praga nie nęciła ich wcale. Przerów podług nich miał więcej widoków praktycznych. — Cicha, skromna, sercem Jerzemu oddana siostrzyczka przyczyniła się do załatwienia sprawy jego wyjazdu. Jerzy rozpogodził oblicze, a jednocześnie uśmiech na wszystkich błysnął twarzach. Z myślą pogodną, z radością naiwnego młodzieńca, z tłumem projektów, jakie zwykli tworzyć o krwi gorącej podlotki, z kaszlem, drażniącym mu nadto często krtań, z gorączką pragnień, trawiącą organizm wątły, Jerzy Jordan wyruszył z początkiem jesieni z Przerowa na Morawie do Pragi. Płaszcz miał dogodny dla przepuszczania wiatru i chłodu jesieni, a kieszeń bardziej notatkami i chustką do nosa, niż potrzebną dla każdego monetą była napełnioną.

W drodze Jerzy zaznajomił się z medykiem Hegrem, który zaprosił go do siebie, ofiarując mu za bezcen wspólne mieszkanie. Hegr, piątokursista, przeszedł już przez bicze, chłoszczące każdego nowo w przedsionek świata wstępującego młodzieńca, zna Pragę, rozumiał, co znaczy miasto wielkie jak ono zjada studentów, tembardziej, nie mających dostatecznej pomocy materyalnej, i już w wagonie w barwach czarnych odmalował ukochane marzeń Jordanowych dziecię. W Pradze rozpoczęło się smutne życie. Pieniądze w części użył nie na cel przeznaczony. Trudno było oprzeć się pokusie, musiał pożyć trochę, on niby — już człowiek, — poznać miasto, zwłaszcza, że wykładów jeszcze nie było. A z domu nie przyślą mu pieniędzy, musi wyżyć z kilkunastu guldenów miesięcznie, których ilość skurczyła się przysuwająco. Oszczędza do minimum, szuka pracy, — naprożno! Wróżby Hegra sprawdzają się. Przyjmują go podaniem ręki uprzejmie, obiecują, a gdy powtórnie przyjdzie, witają go już nieco chłodniej lub zupełnie nawet ozięble. A charakter Jerzego nie pomaga mu wiele. Może pukając ciągle do drzwi, zwłaszcza zaś zamiatając kornie proch przed stopami tych, którzy mogliby mu się wystarać o lekcye, wyskomliłby cokolwiek, — ale on, żądający jedynie szczerości w obiecankach, gdy spotkał filisterstwo, lekceważenie czyjejś pracy i czasu, marnowanego na próżne poszukiwanie zajęcia, a pozbywanie się lisiem słówkiem; „może“, „zobaczymy“, — wre oburzeniem dziecka lub odkrywcy szczęścia dla ludzkości, który utopijne chcąc budować zamki, nie znajduje nakładcy odpowiednio bogatego i fantastycznego. Raz jeno dostał pracę, lecz z zarobku urwano mu parę guldenów. A jednak Jerzy, mimo głodu i chłodu, kocha wciąż Pragę.

Do uniwersytetu uczęszcza prawidłowo, o ile nie stanie na przeszkodzie deszcz. — a raczej buty dziurawe. Do restauracyjek zagląda nie często: cierpi na brak gotówki, który doprowadza go czasem do zupełnego niemal wycieńczenia. Wśród tego biegania za pracą i pustki żołądkowej, Jerzy pełen nienawiści dla pewnych warstw społecznych znajduje dwie osłody: Jednę w naturze

GRÓB POETY.

Oto jest grób poety... W nieświęconej ziemi —
I nie pod krzyżem leży... Na płycie grobowej
Nie ma kwiatów... Nikt żadnej nie powiedział mowy,
Wszyscy stali dokoła zmieszani i niemi
I odeszli czem prędzej, gdy grób zasypano —
Został sam w ziemi z czarną, spiekłą w piersiach raną.

Jak cicho teraz leży i w jakim spokoju
Ten, co wprzódy nie zaznał nic, prócz trosk i znoju,
Prócz upokorzeń, wzgardy dla samego siebie,
Gdy musiał żyć o ledwie nie żebranym chlebie,
Lub — a myśl sama o tem barwę z twarzy zdziera —
Starać się zostać błaznem pana lub bankiera.

Leży cicho... Już więcej nie przyjdzie ta jędza
Z szczękami trupiej głowy, co się zowie nędza,
Już nie przyjdzie i marzeń mu więcej nie starga...
Leży cicho... Ostatnia, wielka, straszna skarga
Wyszła mu z ust wraz z jękiem, gdy drżący i blady
Pocisnął cyngiel — padł strzał — zbiegły się sąsiady,
Drzwi otwarli, a widząc trupa na podłodze,
Cofali się ze wstrętem i żegnali w trwodze.

A tymczasem świetlana, z skrzydłami złotemi,
Odchodziła poety dusza precz od ziemi
I podniosła się zwolna i kędyś w przestrzenie
Wracała, zkąd przychodzi na ziemię natchnienie...
Wzdymaj się srebrnomodre, nieskończone morze!
Wzdymaj się! Ty mu zahucz, jak tryumfu dzwony!
Wzdymaj się, ty potęgo ogromna i dzika,
Elemencie królewski i nieuskromiony!
Wzdymaj się! Gdy raz zerwał z szyi swej obrożę,
Jego zwycięzkiej śmierci to godna muzyka!...

Pieśń tryumfu mu zahucz! Oto już nic zgoła
Wolnej, skrzydlatej duszy krępować nie zdoła —
W przestworzu od gwiazd skrzących i komet ognistem
Lecieć będzie z błyskawic trzaskiem i prześwistem —
Ile wysp złotych w słońcu, pieczar skrytych w bluszcze,
Kwiatów, co wybuchają lawą z ziemi Wschodu,
Gdzie jakich skał granity i gdzie jakie puszcze,
Wszystkie zorze na toniach spiętrzonych od lodu,
Wszystkich wulkanów ognie: wszystko wszystko dla [niej.
Wszystko! Niema granicy, kresu, ni przystani...
Wolna jak mgła powietrzna na niezmiernem niebie,
Lecieć będzie i wszystko, co niegdyś kochała,
Ciszę, światło i przestrzeń, wszystko mieć dla siebie,
Wydarta, wyzwolona z wstrętnych więzów ciała!

Wzdymaj się srebrnomodre, nieskończone morze!
Wzdymaj się! Oto na twe rozhukane zwały
Upadłszy, piaski pustyń nadbrzeżnych rozorze
I zatrzęsie w podstawach wysp skrzesane skały,
Na delfinów srebrzyste rzuciwszy się grzbiety,
Płynąć będzie, gdzie palmy cień rzucają liściem
I na błyszczącym sierpem zdobne minarety
Księżyc bladych lśnień strugi rozlewa przed wnijściem.

Oto przepastne wody tumanem się wznoszą
I wirem zakręcone piętrzą się w niebiosy —
Ha! Z jakiemż upojeniem i z jaką rozkoszą,
Uchwyciwszy się wichrów płomiennych za włosy,
Leci, topi się w głębiach, jako sokół w chmurze,
Opada w dół i znów się porywa do góry.
Aż wreszcie, rozszalała, jak gryf złotopióry,
Z mórz nad morza przelata, ściga grzmiące burze,
I kędyś, gdzie się szafir sennych wód kryształi,
Rzuci się odpoczywać na przejrzystej fali...

Wzdymaj się, srebrnomodre, nieskończone morze!
Wzdymaj się, pieśń radości mu szum, pieśń wesela!
Oto już ognia marzeń nic mu nie spopiela,
Nic kaskad jego natchnień tamować nie może.
Oto już owe kształty, owe światła, tony,
Co były jego duszą, jego krwią serdeczną,
Nie będą, jako obłok wichrem rozpędzony,
Pierzchać przed strasznem widmem życiowej niedoli, —
Oto już wszedł w tę ciszę i spokojność wieczną,
Gdzie nic więcej nie łamie, nic więcej nie boli.

Minęły już te noce, gdy przedziwne cienie
Nad jego młodą głową splatały się w wieńce,
I prosiły, składając, jak do modłów ręce:
Oto nas twe do ciebie przysłało natchnienie.
Chcemy na świat! Patrz, jakie piękne i tęczowe,
Daj nam, jak gwiazdom jasnym, nad twem czołem [błysnąć,
Daj nam ciało, daj duszę... A on ściskał głowę,
Co pękała w gorączce, i pytał sam siebie:
Co jutro? Lecz co jutro? Czy z okna się cisnąć?
Czy żyć dalej o ledwie nie żebranym chlebie?
Dalej walczyć z tym losem, co kościaną ręką
Pochwyciwszy za gardło, pierś gniecie kolanem,
I, jak upiór, się poić zda ofiary męką,
Unicestwianą siłą i życiem złamanem?
Dalej za nędznej strawy kęs uginać karku,
Zapierać się swej duszy, pragnień, woli, wiary,
Myśl swą, krew swą przemieniać w towar na jarmarku,
Szukać kupca i ducha przykrawać do miary?
Dalej z wniebowstępnego cisz i wyżyn lotu
Opadać ku ziemskiemu gwarowi i błotu,
Gardząc własną słabością i dolą ofiary?!...

Niech mogiłę samotną w nieświęconej ziemi
Tłum prawowierny mija z obawą i wstrętem. —
Kto się życia rękoma pozbawia własnemi,
Tego duch potępiony, imię jest przeklętem.
Mówią, że czasem sokół, zamknięty do klatki,
Próbuje stargać druty, aż gdy skrzydła skrwawi,
Pierś porani i siły wyczerpie ostatki,
Oszalały z rozpaczy głodem się zamarza...
Ludzie spokojni, trzeźwi, rozsądni i prawi,
Unikajcie głuchego wyklętych cmentarza.

Kazimierz Tetmajer.

i w ciągłej obserwacyi piękności Pragi, drugą w młodziutkiej dziewczynie. Spotkał to dziewczę, powracające ze szkoły do domu, i tak się jakoś złożyło, że nastąpiła znajomość, sposób zawarcia której wykazał całe dziecięctwo Jerzego i czystość jego wiosennej duszy. Niestety, panienka figlowała z nim jedynie. Tymczasem kilka rozmów z osóbką tak sprytną i parę skradzionych i ofiarowanych mu pocałunków zasunęło na jego oczy mglistych ułud zasłonę. Wreszcie czas, odkrywca brudów w przedmiotach najczystszych, obnażył mu kokieteryę i próżność bezgraniczną Klary. Nakoniec ta figlarna, lubiąca zbierać hołdy i zmuszać filuternością i drażnieniem do nadskakiwania, a nie znosząca oporu dziewczyna, odbija skargi młodzieńca niby kulę krokieta, gdzieś w dal poza wonną uczuć murawę, — i zadowolona z chwilowego użycia, ucieka szybko do domu (spotkania odbywały się tylko na ulicy, — Jerzy był za biedny i za nadto podarte miał buty), aby za godzin kilka zawisnąć w ramionach wymuskanego tancerza. Jest to jeszcze dziecię, stworzonko dla oka miluchne, a już rozkapryszone i próżne, chcące użyć życia i rzucające wszystko, gdy uczuwa brak krwi do wyssania.

Klara to zarodek despotycznej kokietki, niejeden przeto Jerzy straci przez nią wiarę do ludzi, a zyska zniechęcenie i serca chorobę, bo chochlików siła czar umie rzucać wielki.

Z Hegra Jerzy niewielką też miał pociechę. Życia przy brzęku szklanek i w hurys objęciach Jerzy nie lubiał. A że Hegr wracał zwykle z knajpek, gdy Jerzy już spał, ten zaś wychodził, gdy Hegr jeszcze spał, widywali się więc bardzo rzadko. Hegr hulał i używał przyjemności po za domem i w domu. Wynajmował on pokój od kobiety, handlującej mięsem, która pożyczała mu w drodze łaski swe ciało. Naiwna Jerzego dusza długo nie zdawała sobie sprawy z tego ukrywanego co prawda stosunku, również jak z żywienia się na rachunek „dam“, praktykowanego w kołach studenckich na mocy umizgów ku pannom służącym lub przełożonym garkuchni. Czynił to i Hegr. Lecz miarka się przebrała i Hegr, mogący żyć dostatnio, bo zamożnych miał rodziców, doszedł dzięki hulankom, kartom i dziewczętom do tego, że nawet w restauracyjkach odmówiono mu dalszego kredytu. Wtedy to Hegr pożyczył od Jerzego ostatnie dwadzieścia krejcerów z warunkiem zwrócenia ich w dwóch godzinach. A Jerzy był już wówczas dobrze chory, kaszlał coraz więcej, sił mu brakło, bo niespodzianki praskie, uderzając weń jedna po drugiej, rozstroiły go dostatecznie. Żył bardzo skromnie i w dzień owej pożyczki czuł się niemożliwie osłabionym i głodnym. Hegr pieniędzy nie odniósł. Jerzy pół-błędny z wycieńczenia i z wzmagającej się gorączki biegnie go szukać podczas deszczu i rzeczywiście spotyka go z „damą“. Pyta o pieniądze. Hegr zbywa go słowem „nie mam“ i mało dbając o towarzysza, podąża z kobietą, której może dziś jeszcze stanie się kochankiem i będzie u niej wieczerzał. Jerzy mknie szybko, lecz nagle bezwiednie staje na ulicy. Słychać głos cytry. To restauracya. Odchodzi, wraca się, waha, wreszcie wszedł. W kieszeni nie miał ani hellera. „Piwo zwyczajne“, — rzekł. Siedział i pił długo. Grzał się w cieple restauracyjnem. Wypił. Jak uciec? Obawia się oczu ludzkich. Lecz powoli wstaje, — już na ulicy... Nogi, niby trzciny, łamią się pod ciężarem występku i osłabienia. Błądzi po ulicach nieświadomie. Dom, rodzina, ludzie prascy, owo „piwo“ przebiegają mu po głowie Wtem chwyta go kolega i ciągnie do knajpki, gdzie usługuje ładna Berta. Widział ją już tu kiedyś i nawet złożył na jej policzkach kilka pocałunków, — trwożliwie, z obawą, czy jej nie urazi. Obraziła się, myślała bowiem skorzystać coś od niego. Gotowa była sprzedać mu wdzięki swoje, ale nie za darmo — nie! na to nie mogła pozwolić. Lecz dziś i on jej nie widział, w głowie mu się kręciło, — siedział i fantazyował. Nagle pożegnał się i podążył do domu. Błądził, rozmawiając z sobą. Ktoś go odprowadził. W nocy zachorował na dobre, a rankiem Hegr odwiózł go do szpitala, gdzie wkrótce zakończył żywot suchotniczy i miłość nerwową ku Pradze. Jerzy, ten nie umiejący zastosować się do życia, sympatyczny młodzieniec, zginął. Hegr zdrowszy i zamożniejszy wyszedł szczęśliwie.

Autor przedstawiając życie Jerzego i opisując przebieg różnych wypadków, — daje nam subtelne wizerunki wielu ludzi i wprowadza nas w życie społeczne. Bardzo plastycznie i wiernie skreślił rodzinę urzędniczą Jordana, pracującą usilnie na kawałek chleba i widzącą w Jerzym jakąś wyższą istotę. Morały ojca, jego niby oschłość, a tajenie łez, gdy pociąg z synem odjeżdża — sercem bratu oddana siostra, drobiazgowe przyjemności, wyświadczane mu przez matkę, pouczające listy rodzica z guldenem „na piwo“, — to żywa natura. Autor kilkoma kreskami odtwarza te postacie. Prowadzi on Jerzego na różne miejsca i zapoznaje nas w ten sposób ze stosunkami praskiemi, wychowaniem szkólnem, nędzą studentów, ich hulankami, z obojętnością warstw zamożniejszych dla młodzieży, z filisterstwem mieszczańskiem, z życiem knajpiarskiem, które wielu pożera studentów, z gmachem szpitalnym i jego wadami, z dążeniem ogólnem do Pragi, tego niby klucza szczęśliwości i zarobkowania, a wszystko ogrzewa ciepłem serdecznem i spostrzegawczym, głębokim oświetla rozumem.

Język jego to najpiękniejsza proza czeska, a opisy tchną nadto wdziękiem i artyzmem prawdziwego poety. Najcudowniejszemi też ustępami w „*Santa Lucia*“ są widoki Pragi i kilku innych miejscowości. Połowę niemal książki wypełnił niemi autor. Pędzel ma impresyonistyczny, silny, — jego naturę widzimy i kochamy.

W powieści tej jednak razi nadmiar żywiołu opisowego. Są to ustępy śliczne, ale taka ich obfitość, że akcya niemi obarczona tylko powoli się rusza.

Prócz „Santa Lucii“ Mrsztik wydał kilka zbiorków nowel: „Cienie“, „Obrazki“ i t. d. Malowniczość, plastyczność i jędrność cechują wszystkie jego drobiazgi.

Zygmunt Makowiecki.

Chorał Kornela Ujejskiego
w obrazach Jana Styki.

Pod wrażeniem oceny umieszczonej w „Dzienniku poznańskim“ poszedłem obejrzeć tyle zachwalany cykl obrazów Jana Styki, ilustrujący „Chorał“ Kornela Ujejskiego.

W społeczeństwie naszem niema chyba jednostki, któraby nie czuła wielkości i podniosłości pieśni tej, podyktowanej natchnionemu poecie przez srogi ból po stracie ukochanej Ojczyzny. Pieśń przelała się w dusze i serca narodu i stała się naszym hymnem narodowym, naszą skargą i modlitwą. Naród przyjąwszy pieśń jako wyraz swych uczuć, włożył tem samem na skronie poety wieniec uznania i nieśmiertelności.

Poeta i literat wyraża swe wrażenia, obserwacye i uczucia, pisząc je rymem czy prozą, — muzyk wlewając je w tony, akordy i melodye, — a malarz, tworząc obraz przy pomocy rysunku, światła i barw.

Każde dzieło, tak z dziedziny literatury, muzyki, jak i sztuki malarskiej, oprócz treści musi mieć odpowiednią formę. Rozumiem przez to, że najpiękniejsza myśl lub temat napisane złym językiem i stylem przestaje być dziełem, — zarówno jak i najpiękniejszy utwor muzyczny, przez wykonawcę źle zrozumiany i źle wykonany, staje się ułamkiem lub karykaturą. W malarstwie forma właściwie, a nie myśl najważniejszą odgrywa rolę. Obraz robi najpierw wrażenie na zmysł wzroku, a kompozycyą swoją i wykonaniem rozbudza u widza zrozumienie treści, t. j. uczucia lub pojęcia, które artysta chciał przedstawić. Gdy w obrazie nie znajdziemy dobrej kompozycyi, dobrego rysunku, prawdy w oświetleniu i kolorze, przestaje on być dziełem sztuki, — pomimo najpodnioślejszego tematu i myśli.

Artysta malarz Jan Styka przedsięwziął przedstawić „Chorał“ w obrazach, które obecnie na Wystawie sztuk pięknych w Poznaniu oglądać możemy. Jak artysta zrozumiał i pojął myśl poety, przypatrzmy się:

Obraz I.

...Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń.

Na chmurach dymów i pary klęczy kobieta w królewskim płaszczu żałobnym z wzniesionemi rękami i wieńcem cierniowym na skroni. W postaci tej na próżno szukać ruchu, wyrazu boleści, rozpaczy, „skargi strasznej“ i „jęku ostatniego“. Figura ta klęczy spokojnie, ręce wzniesione z teatralnym patosem, nic wyrażają nic; twarz łagodna z banalnym wyrazem nie czuje „cierniowego wieńca“ co „wrasta w skronie“.

Poniżej widać sylwetę Wawelu na tle zorzy, o której na pewno powiedzieć nie można, czy jest wieczorna czy poranna, ale za to na pewne twierdzić można że nie pochodzi od „pożaru“. W prawym rogu obrazu „sterczy“ kilkanaście rąk, a z tych wyróżnia się para rękawów z przyczepionemi do nich bezsilnemi i omdlałemi rękami, trzymającemi szablę. Wszystkie ręce źle narysowane, niecharakterystyczne i nic nie wyrażające.

Kompozycya cała nie robi wrażenia owej grozy i boleści jaką czujemy w słowach poety, które obraz ten ma ilustrować.

Obraz II.

...Znowu wołamy, On się przebłagał,
Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan.
I znów powstajem w ufności szcze si...

Obok działa, dwóch klęczących kosynierów, malowanych z kompletną ignorancyą proporcyi i rysunku. Poza nimi stoją dwaj żołnierze z r. 1831., jeden z chorągwią, drugi z wyciągniętym pałaszem, a obydwaj chude, nierycerskie, i niepoczesne figury, sztywno ustawione. Na prawo zakonnik, nie mażący nawet w zakonnej swej skromności o choćby tylko możliwym rysunku, podniósł śpiącą głowę i błogosławi. Obok niego chłopcy dziwnie skuleni. Horyzont zamykają kłęby brudnej waty — w której domyślać się trzeba tłumu kosynierów. Na ich czele stoi sztywny powstaniec z r. 1863. Wszystkie figury bez wyjątku źle rysowane, sztywne, brzydkie, bez wyrazu, a obraz cały robi wrażenie szkicu kompozycyjnego, a nie rzeczy obmyślonej i skończonej.

Obraz III.

Owóż w zwątpienia strasznej rozterce,
Nim nasza wiarę ocucim znów,
Bluźnią Ci usta, choć płacze serce.

Noc, — ciemne niebo rozdarł piorun i oświetlił pole bitwy. Przy świetle tym widać rozbite działo, a na ziemi zwłoki ubitego artylerzysty. Figura ta dobra w ruchu, ale fatalnie narysowana — lewa noga wyrasta nieomal z pod pachy. Obok spoczywa ranny żołnierz, z zawiązaną głową, wsparty

na lafecie, z wyrazem spokojnej boleści w oczach, a obrzydzenia w ustach. I ta figura marnie rysowana i zagubiona w masach cieniów, nie tłomaczących się należycie.

Na pierwszym planie leży zabity żołnierz. Figura ta nieestetycznie skomponowana, brzydka w ruchu, źle narysowana, w skutek czego nie ma skrócenia perspektywicznego.

Światło skoncentrowane, pochodzące np. od słońca lub pioruna, daje cienie rzucone o twardym konturze, a cienie te ułatwiają zrozumienie kształtu i pozycyi oświetlonego przedmiotu. Tymczasem na obrazie tym cienie rzucone są rozlane, co sprawia, że figury toną w ciemnych plamach, kompletnie nie tłomaczących się dla widza.

Wiadomo wszystkim, że promienie światła biegną po prostej linii. W obrazie tym ma się rzecz inaczej — motyw światła znajduje się z tyłu figur, a figury oświetlone są z prawej strony obrazu.

Obraz IV.

„Okropne dzieje przyniósł nam czas.
Syn zabił ojca — brat zabił brata.
Mnóstwo Kainów jest pośród nas“.

Na kamieniu tlejące i dymiące resztki ognia ofiarnego, a obok leży skandalicznie narysowane ciało zabitego Abla. Na terenie maczuga o przedhistorycznych kształtach. Na dalekim widnokręgu tej czysto biblijnej ilustracyi — polski dworek szlachecki z ganeczkiem.

Obraz ten właściwie nie zasługuje na wzmiankę, raz z powodu braku artystycznej wartości, a powtóre z powodu zupełnego niezrozumienia myśli poety.

Obraz V.

Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy
Na Twoje łono do Twoich gwiazd
Modlitwą płyniem jak senni ptacy.
. . . .
Niech nas męczeństwa otoczy blask.

Kopalnia syberyjska — gromadka wygnańców przy oświetleniu gromnicy żegna modlitwą konającego towarzysza broni i niedoli. Obraz ten stanowczo w kompozycyi najlepszy grzeszy jak wszystkie brakiem rysunku i konsekwencyi w przeprowadzeniu oświetlenia. Figury, to modele klęczące, bez wyrazu cierpienia, tęsknoty za krajem, tęsknoty, co toczy duszę i śmierć pożądaną czyni.

Obraz VI.

...Bóg był i jest.

Na białym rumaku jedzie porcelanowa lalka ze skrzydłami i włosami z konopi, a w krótkiej, pozbawionej muskułów ręce, trzyma ognisty miecz, którym podcina rumaka, tratującego płaskiego dwugłowego orła, zdjętego widocznie z godła wieszanego na carskich urzędach. Za lalką jedzie zastęp wojowników przeważnie o mongolskich twarzach — resztę dośpiewaj sobie czytelniku, patrząc na to dzieło.

Daruj mi, cieniu Grottgera, że wspominając cię na tem miejscu, — gdy jednak w duszy brzmi mi uroczysta pieśń chorału, przed oczyma stają Twoje arcydzieła. Tyś jeden do tej pory z niezrównaną genialnością wlewał życie, zapał, cierpienia i grozę — w rysowany świat i ludzi. Ty — inaczej zrozumiałbyś poetę.

W. Skibiński.

Koncert Hubermanna.

Monachium, 16 listopada.

W środę 13-tego bm. odbył się na tutejszej sali Kaim'a koncert Bronisława Hubermanna. Artysta ten dziecięcy występował już od czasu tryumfów wiedeńskich (w styczniu b. r.) w Pradze, Berlinie, Paryżu, w Anglji, Belgji, Holandji i Węgrzech, wszędzie wzbudzając ten sam podziw i zapał niezwykły. Teraz zamierza on objechać znaczniejsze miasta w Niemczech. Zaczął od Monachium. W środę występował raz pierwszy, drugi raz zagra w poniedziałek.

Publiczność zapełniła obszerną salę Kaima aż po brzegi. — Wielkiem było oczekiwanie, gdy godzina nadeszła, a orkiestra zaczęła się sposobić do akompanjamentu, wydając te tak konieczne, choć niekoniecznie przyjemne zgrzyty i skrzypienia przy strojeniu strun.

Wreszcie zjawiło się małe dziecko, postępując na sam przód estrady, a fizjonomista z rysów twarzy i postawy układał sobie z góry zdanie o duszy młodocianego artysty. Jeżeli był zarazem estetykiem, wrażliwym na szkolniczo uznawane piękno, może się rozczarował, jeżeli szukał głębokości wyrazu, nie omylił się, owszem, więcej znalazł, niż się może tego spodziewał. A wyraz ten, pełen uczucia i myśli, w miarę, jak chłopczyk grał, coraz więcej potężniał uduchowiając twarz, że stawała się tem samem piękną. A taki spokój i taka miara panowała mimo to w tem zewnętrznem odbiciu uczucia, taka pewność tryskała z niego, że się i widzom wnet udzieliła, nie pozwalając im na chwilę wątpić o potędze duchowej dziecięcego skrzypka, wykluczając z góry wszelkie obawy, czy tylko zadaniu swemu sprosta.

I przestał kombinować fizjonomista, przestał krytykować estetyk, nikt nie rozważał, każdy poddawał się wrażeniom tylko, bo skrzypek tak nakazywał, bo skrzypek pociągał smyczkiem już i po strunach duszy słuchacza. Umysły wrażliwsze przechodziły ow dreszcz zachwytu i upojenia, jaki się nam udziela przy wszelkich głębszych odczuciach estetycznych, czy to w dziedzinie muzyki, czy to poezji, czy to sztuk pięknych.

W takim stanie przebył już czuły słuchacz cały wieczór, przechodząc ze skrzypkiem całą skalę uczuć, od smutnych do wesołych, zawsze równie uniesiony w sferę wyższą, ponad wszelkie codzienne sprawy, w sferę, gdzie wszystko, i dobro i zło, i jęk bólu i okrzyk radości, zlewa się w jednę harmonję, niezachwianą i czystą. Tak chciała sztuka, nie sztuczna, lecz prosta i szczera, jak prawda, jej rodzica.

Lecz do tej szczerości w oddawaniu własnych uczuć dochodzi zwykle dopiero umysł dojrzały, po wielu latach zapasów ze sobą samym, po wyszumieniu porywów nieokiełznanych, po odrzuceniu obcych naleciałości. I wtedy uchylamy czoła przed mężem wyrobionym przez życie, czy on będzie działał na polu nauk, czy sztuki. Żeby to samo uczynić wobec chłopca, od którego nie my uczyć się, lecz jego uczyć, — takbyśmy sądzili — powinniśmy, zdaje nam się dziwnem. Ale cóż, kiedy ten olbrzym dziecięcy zmusza nas do tego. A kto temu nie daje wiary, niech posłucha gry małego Hubermanna, niech uczyni to bez z góry powziętego zdania, bez filisterskiego oporu, a wnet sam czoła uchyli i przyzna się do tego z rozkoszą, bo rozkoszą poddać temu dziecięciu duszę swą całą.

Takim jest dzisiaj Broniś Hubermann; czy takim zostanie o tem wątpić wolno, choć chwilowo to nie wchodzi w rachubę. Może z dziecięcością zniknie ta prostota, którą dziecko na świat przynosi, a rzadko kto w późniejszem życiu, gdy się przetrawi duchowo, w całej pełni odzyskuje.

W każdym razie nie zatraci nasz skrzypek swoich zdolności fizycznych, owszem wzmocni je pewnie z czasem jeszcze, choć i teraz są one już tak rozwinięte, że zdaje się trudności techniczne dla małego skrzypka nie istnieją wcale. Dowodem na to, że naprzykład Sarasatego „Zigeunerweisen“, ten zbiór łamańców technicznych, gra z taką łatwością, że przechodzi w tem może samego ich twórcę. Równie gładko sprawia się z tak trudną do wykonania „Chiaconną“ Bacha. W ogóle repertuar „cudownego dziecka“ jest niezwykle bogatym, bogatszym może, niż niejednego znamienitego dorosłego mistrza. I tak grywa on koncerty Beethovena, Mozarta (w A), Mendelssohna, Sphora (2 i 6), Joachima, Brucha (1 i 2), Violti'ego (21 i 22), Rode (7 i 8), Wieniawskiego (D-mol), Paganiniego (D). Ernsta (Fis-mol), Kreutzerową sonatę Beethovena, „Träumerei“ Schumanna i jeszcze około 30 rzeczy starszych i nowszych a mianowicie kompozycye Tartiniego, Rubinsteina, Sarasatego, Vieuxtemps'a, Czajkowskiego, Raffa, Griega, Svendsena i t. d.

To też krytyka nie może się dosyć nadziwić owemu fenomenalnemu dziecku, a co najciekawsze to to, że tak zwykle ze sobą poważnieni krytycy, jak Hanslick i Helm, Engel i Tappert, Bruneau i Magnier tu o walce śmietelnej zapominają, wynosząc zawsze grę małego skrzypka pod niebiosy, wróżąc mu że stanie się twórcą nowej ery w muzyce.

Jak wiadomo, gwiazdę tę odkrył i pokazał światu Zamoyski, protegując małego Hubermanna, w czem go później cesarz austryacki zastąpił.

Notus.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Uniwersytety ludowe
w Skandynawii.

(Dokończenie.)

Profesorowie są prawie bez wyjątku akademicznie wykształceni. Wymagają od nich głównie dwóch rzeczy: Po pierwsze muszą to być *doskonali mówcy.* Grundtwig podnosił zawsze znaczenie i wpływ *żywego słowa.* Nie z książek lub z manuskryptów odczytywana, lecz swobodnie, żywo z przekonaniem wypowiadana myśl zawiera dość siły, by młode dusze rozbudzić i zapalić. „*Najlepsze* nie jest *zbyt dobrem* dla ludu“ — oto prawda, którą się kierują w tych kołach, pracując na polu oświaty. Wprawni nauczyciele, którzy już wiele lat życia strawili na pracy pedagogicznej, przygotowują się wyczerpująco do każdego wykładu. Dla tego też spotyka się pomiędzy profesorami uniwersytetów ludowych najlepszych mówców Skandynawii. W prelekcye swe wkładają oni nie tylko potrzebne wiadomości i rezultaty badań naukowych, lecz i własną indywidualność, — część siebie. By módz to uczynić, trzeba *głęboko ukochać lud* — i to jest właśnie drugim kardynalnym warunkiem stawianym profesorowi. Nie dla stanowiska i nie dla zysku, lecz z miłości i współczucia dla ludu ubiegać się powinien o posadę nauczyciela w uniwersytecie ludowym. Szczęściem jest wielu ludzi dobrej woli, którzy chętnie porzucają katedry uniwersyteckie stolic, by żyć i pracować wśród ludu wiejskiego, dla jego dobra. Taką wybitną jednostką jest pomiędzy innemi sławny przyrodnik i wynalazca *Paweł la Cour* w Danii, oraz bystry i wszechstronny teolog *Christoffer Braun* w Norwegii.

Uczniowie, którzy ukończyli kurs, uwa-

żają też czas pobytu w uniwersytecie ludowym za najpiękniejszą epokę życia i przez długie lata starają się podtrzymywać stosunki z profesorami szkoły.

Liczba uczniów w jednej szkole waha się pomiędzy 40 a 100, a wiek ich pomiędzy 18 a 30 rokiem życia. Najliczniejszy kontyngens składa się z synów i córek rękodzielników i chłopów, w mniejszej liczbie znajdują się tu synowie kupców i urzędników. Wielu młodych ludzi, posiadających środki odpowiednie, pozostaje w szkole przez ciąg kilku kursów. Wykłady są z tego powodu tak ułożone, iż dwa następujące kursa różnią się pomiędzy sobą całkowicie treścią swoją. Ubodzy najemnicy i chłopi otrzymują stypendya, zebrane przez bogatszych. Rządy zajęły stanowisko nader przyjazne względem tych szkół. Po ukończeniu konfliktu państwowego w 1892 r. wspomaga je np. rząd duński znacznemi sumami. Stypendya udzielane ubogim uczniom, sięgają rocznie 120,000 koron. $^1/_3$ honoraryum profesorów opłaca rząd; przyczynia się on również hojnemi datkami do wzbogacenia zbiorów naukowych.

Początkowo kursa dla mężczyzn i kobiet prowadzone były oddzielnie; obecnie zaprowadzono w wielu zakładach wykłady wspólne dla obu płci, (Gesammtschule, *Samskola*) co w Finlandyi już od początku istnienia tych szkół było w użyciu. Wspomnieć tu należy, iż Finlandya jest błogosławionym krajem, w którym panuje amerykański system wspólnego wychowania obu płci już od r. 1882.

Pierwsza *Samskola* tj. gimnazyum wspólne dla dziewcząt i chłopców, utworzona została z funduszu zebranego drogą prywatnych składek w r. 1882. System ten zdobył sobie wkrótce tylu przyjaciół pomiędzy pedagogami, iż dzisiaj liczy Finlandya aż 12 takich wspólnych gimnazyów. Światli rodzice najchętniej dzieci swe w tych szkołach umieszczają, doszedłszy nareszcie do przekonania, że rozdzielanie obu płci tak na ławkach szkolnych jak i w życiu jest zasadą z gruntu niezdrową.

W klasach pracujących sztuczny ten rozdział nie istnieje, dla tego też stosunek obu płci jest tam lepszy, zdrowszy, naturalniejszy. Z tego też właśnie powodu i w uniwersytetach ludowych nie było potrzeby rozdzielania i rozgraniczania wykładów dla obu płci.

Uniwersytety ludowe dają krajom, w których funkcyonują, nie zastępy marzycieli lub półmędrków, lecz ludzi praktycznych, światłych, dzielnie do życia przygotowanych; iż twierdzenie to nie jest gołosłownem, świadczą postępy ludu w gospodarstwie rolnem, ogólne znaczne wzniesienie się dobrobytu w tych krajach, w których oświata w niższe warstwy narodu przenikła. Tak np. w Danii, chłopi gospodarujący dawniej pojedyńczo każdy na własnym kawałku roli, zaczęli się łączyć z sobą, tworząc w ten sposób większe fermy wzorowe, zaprowadzając w nich gospodarstwo mleczne na wielką skalę i rozmaite ulepszenia.

Produkcya i wywóz masła za granicę wzrósł w przeciągu kilku lat z 18 na 80 milionów f. rocznie. To samo daje się powiedzieć o hodowli bydła, etc. Piaszczyste ongiś wydmy i nieużytki pracowitemi i umiejętnemi rękami zmienione zostały w łąki, gaje, lub pola uprawne. We wszystkich niemal wioskach znajdują się dziś towarzystwa gimnastyczne, strzeleckie, — szkoły, biblioteki, czytelnie. Wszędzie znać ślady czynnej, nieustającej pracy i postępu. Życie rodzinne ludu pogłębiło się i uszlachetniło. Nietylko charakter stosunków rodzinnych, lecz i stosunek pomiędzy chlebodawcą a najmitą stał się łagodniejszym, więcej cywilizowanym. Oświata czerpana z jednego źródła zniwelowała głębokie różnice wytwarzane przez położenie majątkowe. Synowie jednego narodu czują się organicznie związani pomiędzy sobą, zbratani duchem. Ludzie chylą jak dawniej karki nad pługiem, lecz robią to dziś z sercem weselszem, z myślą rozbudzoną, jasną. Świat rozszerzył się przed nimi i wypięknił. Praca nie jest już dla nich ciężkim przymusem, lecz staje się błogosławionym obowiązkiem, ich dumą, — wiedzą bowiem, iż służą przez nią nie tylko sobie, lecz ojczyźnie i ludzkości.

Kończąc relacyę z pouczającego odczytu, który odsłonił nam niejedną jasną kartę z życia wolnych narodów Północy, z goryczą mimowoli wspominamy ów sztuczny system ciemnoty, jakim władze rosyjskie tamują rozwój oświaty ludu wiejskiego na Litwie i Żmudzi.

Nieludzkie, bezprzykładne barbarzyństwo posuwa się tu w swych zakusach ku zduszeniu światła i człowieczeństwa aż do nakładania kar więziennych lub pieniężnych na osoby uczące czytać dzieci wiejskie lub dorosłych analfabetów. O założeniu *szkoły* w tych warunkach nie może śnić się nawet najzapaleńszym marzycielom.

Rdzewieją siły ludzi dobrej woli, rozbijają się dobre chęci o nieprzełamane zapory.

Egipska ciemnota, rozwój wsteczny, ruina ekonomiczna — oto plony, na które patrzeć musimy ze związanemi rękoma, skazani na bezczynne obserwowanie rozkładu własnego narodu.

Obyż w *wolniejszych* dzielnicach Polski znaleźli się ludzie pojmujący potrzebę czasu — prawdziwi swego kraju *obywatele*, oby mając dobro ogółu na celu, zechcieli naśladować przykład Norwegii, Szwecyi, Finlandyi, — przedewszystkiem zaś przykład drobnej, zwyciężonej Danii!...

Jerzy Zan.

KRONIKA GALICYJSKA.

Kraków 19 listopada.

(*„Benjaminek Austryi“. — Nieco statystyki.*)

Ktoby wierzył dziennikom wiedeńskim i powtarzającemu za niemi, jak pacierz za panią matką, dziennikarstwu europejskiemu, ten byłby przekonany, że Galicya jest najdroższym Benjaminkiem Austryi, Nieszczęśliwi Niemcy, godni litości Czesi! — rządy austryackie traktują ich po macoszemu, a najlepsze sukienki i najsmaczniejsze łakocie mają dla najmłodszego synka. Tymczasem nieznośna statystyka powiada, że właśnie najmłodszy synek chodzi w łachmanach i żywi się tem, co spadnie ze stołu. A nie jest to żadna statystyka prywatna, ale urzędowa, oparta na świeżej publikacyi centralnej komisyi statystycznej wiedeńskiej. Przytaczam z niej kilka cyfr na dowód, jakiej to niezwykłej opieki doznaje Galicya, jak opływa w bogactwa i rozkosze.

Kiedy „nieszczęśliwe“ Czechy posiadają 56 szkół średnich, Galicya ma ich 33. W Czechach jedna szkoła średnia przypada na 80,000 ludności, na Morawach na 64,000, na Bukowinie (którą się uważa za najwięcej upośledzoną) na 165,000, w Galicyi zaś na 206,000 ludności. W Czechach szkoły handlowe wyższe kształcą rocznie 1,250 uczni, niższe 3,200 — w Galicyi istnieje tylko jedna, licząca 92 uczniów. W pięciu szkołach państwowych przemysłowych czeskich ukończyło nauki 1,210 uczniów, w dwóch galicyjskich 320. Galicya nie posiada ani jednej szkoły rękodzielniczej, Czechy mają ich pięć. Szkół rolniczych, kraj wyłącznie rolniczy, Galicya, ma 14, a przemysłowe Czechy 43. Czesi mają 271 szkół wydziałowych, a Galicya 9. Szkół ludowych jest w Czechach 4807, z których mniej niż trzecia część posiada tylko jedną klasę, w Galicyi na 3700 szkół ludowych jest jednoklasowych przeszło 3000. Ogółem w Czechach na tysiąc mieszkańców przypada jedna szkoła, w Galicyi jedna na 2000. Zupełnie taki sam jest stosunek w liczbie nauczycieli.

Tak wyglądają stosunki szkolne. Przypatrzmy się teraz stosunkom sanitarnym. W Galicyi jeden lekarz przypada na 10,000 mieszkańców, na taką samą ilość mają morawianie 2 lekarzy, czesi 3. W parze z tem idzie śmiertelność, która tylko na Bukowinie jest wyższą, aniżeli w Galicyi. Jedna Dalmacya daje mniej z hektaru roli niż Galicya. Kiedy w Czechach hektar taki przynosi 8 złr. 70 ct., w Galicyi 2 złr. 55 ct. Taki sam stosunek przedstawiają dochody z łąk, lasów i gospodarstwa wodnego.

Jak się Galicya bogaci na niekorzyść innych krajów austryackich, to przedstawia najlepiej obdłużenie ziemi. W Czechach obdłużenie to wzrosło o 300,000 złr., na Morawach zmniejszyło się o pół miliona, w Austryi dolnej zmniejszyło się o 2 miliony... w Galicyi wzrosło o 2 miliony. Kiedy żaden kraj austryacki nie wykazuje więcej nad 66 majątków sprzedanych z większej posiadłości, w Galicyi cyfra sprzedanych wynosi 632. Mniejszej własności, wartości do 1000 złr., sprzedali chłopi galicyjscy dobrowolnie 35.000, wówczas kiedy takich własności sprzedano w Czechach i Morawach 7000, a w innych krajach austryackich od 1000 do 3000.

Poprzestaję na tych cyfrach, dowodzących jak nisko stoi Galicya wobec innych krajów austryackich i jak tendencyjnemi są twierdzenia prasy wiedeńskiej o protegowaniu Galicyi. Cyfry te są także ilustracyą rezultatów naszej polityk omanii. Idzie nam zawsze mocno o walkę stronnictw w Radzie państwa — całe szpalty zapisujemy obecnie sprawą Luegera — już cztery artykuły wstępne jej „Czas“ poświęcił — a nie mamy ani jednej szkoły rękodzielniczej, a chłopi emigrują coraz większemi masami do Ameryki, a ziemia przynosi nam cztery razy mniej aniżeli w Czechach, a jeden lekarz przypada u nas na 10,000 mieszkańców. Za to w dochodach Galicyi zapisujemy przybycie nowego hrabiego, którym dzięki naszej produkcyjnej polityce został jakiś p. Juliusz Bielski. Polityk ujmy więc dalej.

K. Bartoszewicz.

Wychodztwo do Rosyi.

W szeregu zjawisk społecznych, wypływających z ujarzmienia politycznego ziem zaboru rosyjskiego, niezaprzeczenie jedno z najwybitniejszych miejsc zajmuje wychodztwo na wschód.

Zjawisko to tem większą budzi ciekawość i tem pilniejszą zwraca na siebie uwagę naszą, że nie dotyczy ono ludności rolniczej, w której kolonizacyjne dążności przejawiać się muszą, bo z naturalnych płyną źródeł, ale ogarnia szerokie koła inteligencyi.

Wychodztwo do Rosyi w ostatnich czasach doszło do przerażających rozmiarów i coraz to więcej ofiar pochłania, pchając całe zastępy ludzi, wykształconych zawodowo, na dalekie kresy olbrzymiego państwa, bądź na czasowy tam pobyt, bądź też na zupełne i wieczne osiedlenie.

Normalny przyrost ludności w obrębie zamkniętego terytoryum jest źródłem emigracyi i doskonale tłómaczy takie fakty, jak rozrost kolonii niemieckich w Ameryce i Afry-

ce, a w części nawet i takie, jak emigracya ludu polskiego do Brazylii.

W powyższych wypadkach opuszcza kraj ojczysty ludność, przedstawiająca najczęściej siłę jedynie fizyczną, którą na innym rynku spienięża częstokroć na lepszych, korzystniejszych dla siebie warunkach.

Emigracya tego rodzaju nie wyrządza krzywdy społeczeństwu, przeciwnie, reguluje ona jego stosunki społeczne, zmniejsza nędzę i może dać ocztątek nowym ogniskom kultury narodowej. Mówimy tu naturalnie o emigracyi normalnej, nie wywoływanej sztucznie.

Ledwie nieznaczną część wychodźców z Królestwa polskiego w początkach bieżącego dziesięciolecia, t. j. w czasie, kiedy ruch wychodźczy kulminacyjnego dosięgał punktu, tworzyli ludzie, zmuszeni do wędrówki za ocean warunkami ekonomicznemi, graniczącym z nędzą bytem na zagonie ziemi rodzinnej, większość zaś stanowili względnie zasobni gospodarze, wyzbywający się swych posiadłości pod wpływem agentów emigracyjnych i niezdolni oprzeć się sile tego prądu, który na falach swych unosił tysiące ludu — tak często na zgubę niechybną, na los cięższy i twardszy daleko, niżeli w ojczyźnie.

Godzimy się więc z tego rodzaju wychodztwem, o ile dokonywa się ono samo przez się w granicach normalnych a nie jest wytworem sztucznym, owocem szalbierskiej agitacyi, interesem, na którym tracą dwie strony: społeczeństwo, zostające w kraju i lud emigrujący, a zyskuje trzecia — w osobach przedstawicieli najniemoralniejszej afery.

O wiele inaczej atoli przedstawia się ta skala, którą zastósować musimy do wychodztwa inteligencyi, wychodztwa skierowanego w najmniej pożądaną stronę, dokonywanego w najmniej sympatycznych warunkach i zaznaczającego się tylko ujemnie, bo przynoszącego faktyczną i wielką szkodę ogólnopolskim interesom, sprawom całego, tak dziś rozbitego i rozczłonkowanego narodu.

Że emigracya do Rosyi istnieje, że rozwija się i wzrasta stopniowo, co do tego niema najmniejszej wątpliwości. W Rosyi europejskiej niema powiatowego miasta, w którem nie znajdowałoby się kilkunastu, lub przynajmniej kilku polaków. To samo da się powiedzieć o Syberyi, z wyjątkiem może jej północno-wschodniej części, — tych olbrzymich, słabo zaludnionych obszarów, gdzie odległość między jedną a drugą osadą ludzką wynosi setki wiorst. Zresztą w niedługim czasie, projektowany obecnie jednodniowy spis ludności wykaże nam, aczkolwiek ze względną dokładnością, cyfrę, jakiej dosięga żywioł polski, rozrzucony na całej przestrzeni państwa rosyjskiego.

Rozpatrując przyczyny, które wywołują tak znaczną emigracyę, dochodzimy do wniosku, że są one wytworem panujących w zaborze rosyjskiem stosunków, nieodzownym i koniecznym skutkiem tego ucisku, tej presyi, jaką tam rząd bez przerwy na społeczeństwo polskie wywiera.

Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że wyższy urzędnik-Polak w Królestwie, na Litwie i Rusi należy do postaci mitycznych; wprawdzie po rozmaitych biurach można jeszcze spotkać urzędników-polaków, ale wszyscy oni zajmują stanowiska bardzo podrzędne, stoją na najniższych szczeblach tej hierarchii, której średnie i najwyższe zajmują przybysze z cesarstwa.

W obec tego w granicach Polski karyera urzędnicza, zarówno w administracyi, jak w sądownictwie i w dykasteryach, podlegających ministerstwu finansów, dla Polaka nie istnieje. Natomiast rząd bardzo chętnie ofiaruje posady dobrze płatne — w głębi państwa i na Syberyi — Polakom, posiadającym średnie i wyższe wykształcenie.

Polityka wewnętrzna ostatniego panowania umiała nawet wyzyskać Polaków, jako element, nadający się do szerzenia języka rosyjskiego na innych kresach państwa. Na Kaukazie i w krajach nadbałtyckich jest dziś przeważna ilość Polaków, zajmujących nawet wybitne stanowiska, którzy nie znając języków miejscowych z musu posługują się językiem rosyjskim, nie mówiąc o tych, którzy, sprzedawszy się rządowi, świadomie pracują w kierunku przezeń wskazanym, szerząc gorliwie rusyfikacyę.

Uznając sam fakt emigracyi, oraz godząc się na to, że wywołują go poważne i nie dające się na razie usunąć przyczyny, zastanowimy się nad szkodą, jaką to wychodztwo społeczeństwu polskiemu wyrządza.

Z małemi wyjątkami — każdego wyjeżdżającego do Rosyi Polaka można uważać za *straconą placówkę*. Strata jest tem większa, tem dotkliwsza, im wyżej umysłowo i moralnie stoi człowiek opuszczający kraj rodzinny a opuszczają go przedewszystkiem inżynierowie, prawnicy, lekarze, mechanicy fabryczni i t. p. — słowem inteligencya.

W innych warunkach wszyscy ci ludzie, zajmując odpowiednie stanowiska, byliby dla społeczeństwa swojego źródłem niezaprzeczonych i dużych korzyści, płynących zawsze z rzetelnej i sumiennej pracy w jakimkolwiekbądź kierunku. Tymczasem oddaleni o tysiące wiorst od kraju, tracą z nim łączność, tracą sposobność do czynu i działania śród swoich, martwieją i wyrodnieją pod wpływem otoczenia i giną raz na zawsze dla sprawy narodowej.

Młody urzędnik, sędzia, prokurator, inżynier, lekarz wreszcie, przyjeżdża zazwyczaj do Rosyi i obejmuje posadę w tej nadziei, z tem często nawet silnem przekonaniem, że przetrwa tu kilka, najwyżej kilkanaście lat, w ciągu których przy oszczędnem życiu zdoła skapitalizować część dochodów, poczem wróci do kraju, jako jednostka, mająca materyalną podstawę bytu, a więc — nieskrępowana, niezależna, mogąca dowolnie w obranym kierunku pracować...

Dzieje się jednak inaczej nieco. Zamiary te pod wpływem rozmaitych czynników powoli topnieją, nikną, aż wreszcie zastępuje je ciekawa teorya życiowa oparta na wzniosłych podwalinach ugodowej polityki. Zaczyna się to wszystko od... nostalgii. To uczucie jest tak powszechne, że ledwie bardzo nieliczne wyjątki umieją się z pod jego władzy wyłamać, lub też zwalczyć je w zarodku. Zamiast powrotu do kraju doprowadza ono zwykle do tego, że się zaczyna chętniej bywać w domach rosyjskich, gdzie dotychczas było obco, nieswojo, zawiera się stosunki towarzyskie, szuka rozrywek, słowem, wchodzi w życie, gdzie się spotyka nieraz zupełnie sympatycznych i rozumnych, pokrewnych duchem ludzi, pod których bezpośrednim wpływem człowiek pozbywa się owego antagonizmu plemiennego, z jakim przyjechał.

Ten początek jest najtrudniejszy. Potem wszystko już idzie gładko, *rozsądek* stacza walną bitwę z *„marzeniami“*, zwycięża i powoduje szybki rozkład idealniejszych pierwiastków duszy, zastępując je najczystszej wody egoizmem, dążeniem do karyery. Wobec tego nie można się dziwić, że nawet małżeństwa mieszane nie należą w Rosyi do faktów rzadkich, że są one na porządku dziennym i coraz więcej zwolenników znajdują. Ci — giną bezpowrotnie, a przynosząc uszczerbek sprawie ojczystej, zwiększają w dodatku szeregi nieprzyjaciół, albo wytwarzają zastępy ludzi biernych i obojętnych na wszystko, bezbarwnych zupełnie. Jednostki takie, jeżeli nie zaraz, to w następnem pokoleniu wynarodowiają się doszczętnie i toną w morzu rosyjskiem.

Psychologiczne pobudki tej metamorfozy duchowej, jaka się w nich dokonywa, stają się zrozumiałemi dopiero wówczas, gdy w rachubę bierzemy zachowanie się Rosyan względem przybyszów „z zachodu“.

Rosyanie tej sfery, z którą z konieczności stosunki zawrzeć musi Polak-urzędnik, mają pociąg do prdzstawicieli wyższej cywilizacyi. Postępowanie ich z Polakami jest tak dalece ujmujące i w większości wypadków tak po barbarzyńsku szczerą tchnie przyjaźnią, że budzi z początku zdziwienie, potem zupełne uznanie; z biegiem czasu na gruncie tym wzrasta niekłamana sympatya, której dobrobyt materyalny i filisterskie zadowolenie z życia i jego warunków pozwalają coraz głębiej zapuszczać korzenie, utrwalać się.

Szkoda, wyrządzana przez tych emigrantów społeczeństwu polskiemu, nie ogranicza się na tem, że uszczuplają oni szeregi inteligencyi w kraju, ma ona daleko szersze i większe znaczenie ujemne ze względu na to, że wychodźcy, utrzymując stosunki z ojczyzną, krzewią pośród jej obywateli, zwłaszcza pośród młodzieży, zasady zupełnej uległości i rzucają ziarno dzisiejszej polityki ugodowej, wstrętnej i poniżającej; oddziaływanie zaś w tym kierunku jest w skutkach swoich stokroć gorsze, niżeli zupełne zerwanie z ziemią rodzinną i wyrzeczenie się wszystkiego, co swoje.

Tak tedy kwestya wychodztwa naszej inteligencyi na wschód jest kwestyą bolącą i smutną, tem bardziej, że ruch emigracyjny skierowany w tę stronę rośnie i w niedalekiej przyszłości stokroć groźniejszych rozmiarów dosięgnąć może.

Budowa kolei syberyjskiej, monopol wódczany, reforma sądowa we wschodnich guberniach Rosyi, otwarcie kilku nowych filii Banku państwa — wszystko to pochłonęło w ostatnich czasach masę naszych ludzi, a i nadal chłonąć będzie.

Jak złemu zaradzić?

Na pytanie powyższe trudno jest dać stanowczą odpowiedź, póki polityczny i społeczny nasz rozwój będzie tamowany przez absolutyzm petersburski; w takich warunkach — z natury rzeczy musi on nienaturalnemi chodzić drogami i padać ofiarą stosunków. Tymczasem jednak musimy wyznać, że wydaje nam się rzeczą całkiem odpowiednią, ażeby chociaż część wychodzącej do Rosyi inteligencyi naszej zwróciła baczniejszą uwagę na Amerykę, gdzie praca w koloniach polskich, zwłaszcza w brazylijskim stanie Parana, nie będzie bezowocną.

Inteligencya polska w Ameryce ma szerokie i wdzięczne pole do działania, i ci, którzy dziś dla obcych pracują, mogą tam wielkie korzyści własnemu przynieść narodowi.

(Przegl. Wszechp.). *Zd. Wł.*

JERZY BRANDES.

—

DWÓR WIEJSKI

w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 rokn.)

(Ciąg dalszy.)

VII.

Odwiedził mię dzisiaj ksiądz tutejszy i był tak uprzejmym, że przyniósł mi do przejrzenia litografowany komentaryusz do Pisma św., z którego go uczono w seminaryum w Rzymie. Książka pisaną jest po łacinie przez jakiegoś Jezuitę, nie pozbawionego rozumu i przenikliwości, ale który naturalnie nie opiera się na naukowych podstawach, gdyż chodzi mu przedewszystkiem o poparcie dowodzeniami twierdzeń pisma św. Nie ma jej wcale w handlu, to też zajmującem było dla mnie widzieć podręcznik,

według którego udzielaną jest nauka w seminaryach. Jakkolwiek młody, ksiądz U. jest zawiedziony w swoich oczekiwaniach i uważa to za wyrządzoną sobie krzywdę i niesprawiedliwość, że nie został powołanym na nauczyciela szkoły wychowawczej księży w Warszawie, lecz osadzonym na parafii w wiejskim kościółku. Pójdzie on jednak wyżej, prędzej lub później, gdyż ma na to dość rozwinięcia i inteligencyi, kto wie nawet... czy nie za dużo?

Mówiliśmy o tem i o owem, mianowicie o pismach i prasie tutejszej, z powodu pokazywanych mi wczoraj najświeższych artykułów: rozprawki Kazimierza Zalewskiego o pochwalnej ocenie W. Sardou przez Henryka Becque w Figarze i rzeczy Bogusławskiego o feljetonie Sarcey'a p. t. „o pożytku krytyki“. Całe to posiłkowanie się abstrakcyjną estetyką i sięganie po przestarzałe tematy ludzi zdolnych i mogących przynieść prawdziwy pożytek jest rezultatem ucisku, jakiemu naród podlega. Złościliśmy się na pozbawioną sensu administracyę tutejszą; codziennie np. posyła się po listy do odległego o kilkanaście wiorst miasteczka, a naczelnik nie chce nigdy oddać rekomendowanego listu posłańcowi, tylko przysyła mi uwiadomienie, że takowy w jego rękach się znajduje, bym się sam zgłosił po niego. Na moje zażalenie i skargę z tego powodu odpowiedział: „Nikt dotąd z N.....ie nie był tu, *by się poznać ze mną*“. Taksa za przyniesienie telegramu wynosi 2 rs. 20 kop., czyli więcej niż samo jego wysłanie kosztuje, a przynoszą je w dzień i w nocy nieustannie. W dzień imienin pani domu, mąż jej zapłacił bardzo znaczną sumę za telegramy, których treść była niedledwie bez zmiany: „serdeczne życzenia“. Tak gawędząc wyszliśmy sobie na pole i usiedli pod wysokim drzewem, w którego liściach wiatr szumiał jakoś żałośnie, i rozmowa nasza, może pod wpływem tych dźwięków, przybrała poważniejszy charakter. Z małych przykrości codziennych przeszliśmy do wielkiego męczeństwa całego narodu, ze skrępowania i braku swobody osobistej, do ogólnego uciemiężenia i pozbawienia praw wszelkich, do tej wielkiej krzywdy historycznej, która się stała przed stu laty i dziś rodzi wciąż gorzkie i zatrute owoce.

Stary feldmarszałek Moltke powiedział jednego razu do Kościelskiego, iż w pewnej książce o Polsce, którą czytał, podobało mu się najbardziej następujące zdanie; „Nie kocha się Polski tak jak się kocha Francyę, Niemcy, lub Anglią, ale tak jak się uwielbia swobodę“. Szczególne zdanie w ustach człowieka, któregoby chyba najmniej można było posądzić o miłowanie swobody. Co do mnie, czuję, iż właśnie pogląd wyrażony w tych słowach był podstawą mego zapatrywania się i sympatyi do Polski. Kto bezgranicznie, fanatycznie nieledwie kocha wolność i swobodę, z konieczności musi dać miejsce w swem sercu najbardziej uciśnionemu z narodów Europy, przebacza mu jego błędy i nie zatrzymuje się nad niemi, a zalety jego i wzniosłe popędy chwytają go za serce.

Cóż pomoże jednak szukanie plusquamperfectum? Niema człowieka z rozwiniętym umysłem psychologicznym, coby nie widział tych właściwości, które stanowią najsłabszą stronę Polaków, a które odsunięcie od wszelkiej działalności i publicznego życia wypielęgnowało. To, co nieprzyjaciele Polaków nazywają fałszem i dwulicowością, a co niemi nie jest właściwie, lecz raczej życiem w jakichś sztucznych, nierealnych warunkach, także z tego źródła pochodzi. Mają pewną skłonność do wmawiania w innych i w samych siebie rzeczy, nic mających wiele wspólnego z rzeczywistością; nie da się to bynajmniej porównać z brutalnem fantazyowaniem mieszkańca południowej Francyi, lecz jest oszukiwaniem samych siebie przez opieranie życia bardziej na słowach niż na istotnych faktach. Poznałem tu redaktora, który nie napisał nigdy ani jednego artykułu i zaledwie, że czytuje swoje pismo, za którego kierownika nie może być wcale uważanym, a przecież sprawia mu niezmierną przyjemność, gdy go tak tytułują, i najszczerzej nie chcąc bynajmniej kłamać, mówi o nawale pracy redaktorskiej, ustawicznych walkach z cenzurą itp.

Już dwanaście lat upływa, jak grupa gorących patryotów zbiera się najregularniej co dwa tygodnie, by wynaleźć środki na wyswobodzenie ojczyzny i ani zauważyła może nawet dotąd, że, pomimo ich wysiłków, rzeczy jak stały tak stoją.

Polacy — rzekłem do księdza — są może jedynym narodem, który nie ma pretensyi uważania zdrowego, zimnego rozsądku i logiki za swój osobisty przywilej. Francuzi, Niemcy, Anglicy, Włosi i Duńczycy są najmocniej przekonani, że rozum ma siedlisko u nich, jedni tylko Polacy tego nie myślą. Wiesz pan zanadto dobrze niestety, z historyi, jak nie umieli nigdy wyciągnąć dla siebie praktycznych korzyści z najrozmaitszych sytuacyi politycznych; przyznają się jednak chętnie do tego.

— Szczególnem jest — odpowiedział mi na to — że nasze kobiety są pod tym względem odrębne od mężczyzn, nie są one bynajmniej marzycielkami. Tu na wsi kobieta stoi nisko pod względem intelektualnem, włościanki żyją w stanie mocno do pierwotnej natury zbliżonym i dopóki są niezamężne, używają swobody w całem znaczeniu tego słowa, tembardziej, iż powiększenie rodziny witanem jest z zadowoleniem przez ich najbliższe otoczenie. (?) Każde dziecko to przecież kapitał, z ktorego się ciągnie zyski od szóstego roku jego życia. Dopiero po zamążpójściu dziewczyna uważa się związaną, gdyż honor jej jest zarazem honorem jej męża.

— O ile mogłem zauważyć — dodałem — to kobiety z klasy wyższej mają tu dużo panowania nad sobą, w gruncie nie wiele temperamentu. Charakterystyka ich chłodu i obojętności, jaką kiedyś Edmont About skreślił w wierszach, gdy napróżno kochał się w Polce, stosuje się do nich wybornie. Jakkolwiek dziwnie to brzmi, Angielka Maud, w powieści Kosmopolis Bourgeta, spokojna, o gorącem sercu i żywych uczuciach kobieta, którą jednak żadne wzruszenie niezdolne jest wyprowadzić z równowagi, jest typem, który według mnie nierzadko spotykamy w Polsce, jej mąż zaś, noszący przekręcone nazwisko Gorka (miało być zapewne Górski) w swej niestałości i łatwo przechodzących gwałtownych uczuciach, jest prawdziwym Polakiem. — Z toku rozmowy dowiedziałem się, iż jednak częściej tu, niż u nas na północy, panie z wyższego towarzystwa dają się pociągnąć namiętnościom na pochyłość prowadzącą do demimondu lub przestępstwa. Nie dawniej jak parę lat temu, była aktorka, matka znanego i zdolnego malarza Wywiórskiego, została zabitą uderzeniem młotka przez damę, należącą do najlepszych kół towarzyskich Warszawy. Dama ta prowadziła życie nieuczciwe i miała kochanka, który wydawał i potrzebował wciąż dużo pieniędzy. Jej mąż nie domyślił się dotąd przyczyny tego strasznego morderstwa w celu grabieży, utrzymywał do końca, iż popełniła tę zbrodnię z miłości dla niego, przynosił jej bukiety do więzienia, a skazaną i odjeżdżającą do Syberyi żegnał wraz z dziećmi na dworcu, zasypując ją kwiatami na drogę. Gdy która młoda kobieta wchodzi tu do półświatka, wina to po większej części jej matki. Dużo jest matek ładnych córek, szczególnie we wyższem mieszczaństwie, które marząc dla nich o świetnej karyerze, nie mogą się pogodzić z tem, by te młode piękności zmarnowały się i nie zabłysły tak, jakby to mogły uczynić w jednej ze stolic świata. Spieniężają więc wszystko co mogą i wyjeżdżają do Paryża. Zaopatrzone w niewielką sumkę, mniej-więcej jakieś kilkadziesiąt tysięcy franków, urządzają się tam z polską lekkomyślnością, tak wykwintnie, że pierwszy rok pochłania więcej niż połowę całego funduszu, natomiast zdobywają szerokie koło znajomości tego rodzaju, jakie są zawsze dla nowych przybyszów otwarte. W pierwszym roku córki są otoczone, w końcu drugiego kasa prawie pusta, i najczęściej kończy się na tem, że dobrze wychowana, obdarzona żywemi uczuciami młoda panienka, nie widzi przed sobą innego wyjścia, jak przyjęcie ofiarowanej sobie opieki i pomocy jakiegoś przyjaciela. Gdy ten się znuży, trafia się inny i właściwie nie zepsucie dziewczyny, lecz fałszywa, wytworzona przez matkę, sytuacya jest wszystkiego przyczyną. Bohaterka znanej, pełnej wartości powieści Pawła Bonnetin „Passagere“ jest doskonałym obrazem takiej wykolejonej a nie upadłej polskiej kobiety. (Brandes podnosi tu znowu niesłusznie wyjątkowe wypadki do znaczenia typowości. Przyp. Redakcyi.)

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z estrady i sceny.

(Występy Józefa Kotarbińskiego: Hamlet i Uriel Acosta.)

W przeddzień występu Józefa Kotarbińskiego w roli Hamleta, wygłosił p. Władysław Łebiński w „Towarzystwie Przyjaciół Nauk“ odczyt publiczny p. t. „Tragedya przeczuć, nowe przyczynki do Hamletologii“. Etykieta była dla mnie poniekąd zagadką, — więc spragniony jej rozwiązania spieszyłem pełen niespokojnej ciekawości do „akademii poznańskiej“, starając się stłumić głuche, nieco „Hamletowskie przeczucia“. Pierwszą część rozprawy stanowiło suche, lecz jasne streszczenie cennej pracy Matlakowskiego, — drugą orginalny pogląd prelegenta na intencye Szekspira i charakter mitycznego królewicza Danii. „Jedni — mówił mniejwięcej p. Władysław Łebiński — upatrywali w utworze angielskiego mistrza psychologię pesymizmu, inni przypisywali mu zamiar uscenizowania choroby woli, psychologii niedołęstwa, — ja nowe stawiam twierdzenie: Hamlet to tragedya przeczuć. Smutne przeczucia, dręczące Hamleta, są jedynem kluczom tej psychologicznej zagadki, — intencyą Szekspira było uwydatnić działanie posępnego jasnowidenia na charakter i działalność ludzką.“ Takie odkrycie zwiastował prelegent. Nie wchodząc w dalsze nader wątpliwe teorye p. Łebińskiego o dominującym wpływie Szekspira na Sienkiewicza, czuję się zniewolonym przy tej niby nowej Hamletologii położyć znak zapytania. Przedewszystkiem orginalność owego wynalazku p. t. „Tragedya przeczuć“ wymaga o tyle ograniczenia, że najwybitniejsi Hamletolodzy nie wykluczali bynajmniej z analizy swojej dręczących przeczuć w roli psychologicznego czynnika, — orginalnem jest tylko znaczenie, jakie p. Łebiński czynnikowi temu przypisuje, orginalnem wyniesienie „przeczuć“ do znaczenia wyłącznej sprężyny, wyłącznego źródła Hamletowskich wahań. Twierdzenie to nie wytrzymuje krytyki i zachwiać nie może w niczem świetnej interpretacyi Spasowicza, upatrującego w Hamlecie nie tragedyę przeczuć, lecz tragedyę chorej woli, czyli niedołęstwa, — a

już na dowcip zakrawa zdanie prelegenta, że gdyby Szekspir zamierzał uscenizować „niedołęztwo“ to byłby stworzył komedyę, lecz nigdy tragedyę. Przeczucia, to tylko j e d e n z m o t y w ó w, paraliżujących energię duńskiego królewicza, to tylko j e d n a z k o n s e k w e n c y i jego melancholii, pesymizmu i histeryi. Nie czarnowidztwo jedynie paraliżuje jego wolę i czyn, lecz w pierwszym rzędzie pociąg do bezustannej analizy, do mikroskopowania każdego zamiaru, obliczania wszystkich ewentualności i każdego „pro“ i „contra“, do szukania i lubowania się w skrupułach i skrupulikach. A potem ta właściwa wszystkim histerykom p o z a, to rozmiłowanie w intrygowaniu własną osobą otoczenia swego, ten gust do bawienia się ludźmi jak piłką, drażnienia ich ciekawości, budzenia wokoło siebie niepokoju, igrania z czynem, zanim go się spełni. W trzecim dopiero rzędzie możnaby obok innych jeszcze motywów Hamletowskiej choroby woli postawić właściwe wszystkim melancholikom przeczucia chmurne, bojaźń przed złośliwością losu, strach przed jutrem, przed nieobliczoną potęgą przypadku. Tak Szekspir uzasadnia postępowanie bohatera swojego i w takiej interpretacyi psychologii Hamleta tkwi nietylko wyjaśnienie jego bezustannych wahań, lecz tłomaczenie jego nierówności i niekonsekwencyi, jego niezręcznie odegranej komedyi, jego demaskowanie się wbrew pierwotnemu zamiarowi, by tajemnicę swoją szczelną otoczyć zasłoną.

To też owa „tragedya przeczuć“ odkryta przez p. Łebińskiego nie zajmie poczesnego miejsca w współczesnej Hamletologii, a poniedziałkowa gra Kotarbińskiego nie zdradzała bynajmniej, aby znakomity artysta w teoryach poznańskiego prelegenta znalazł dyrektywę dla interpretacyi swojej. Hamlet Kotarbińskiego to melancholik o nerwach wrażliwych i histeryk, lubujący się w intrydze i symulacyi. Tak pojął artysta psychologiczny fundament Szekspirowskiego bohatera i zgłębiwszy okiem bystrego myśliciela wszystkie odcienia, tony i półtony, kreski i plamki tej chorobliwej natury, stworzył typ mistrzowski, odsłaniając łańcuch przyczyn i skutków wielkiej Hamletowskiej tragedyi. Znam artystów, którzy w postać Hamleta wsączyli więcej siły i temperamentu, ale nie znam żadnego, któryby z takim pietyzmem każdą myśl i każdą intencyę poety widzom prezentował, któryby stworzył typ tak psychologicznie uzasadniony i konsekwentny. Może ten Hamlet Kotarbińskiego był zanadto literacki, może myślący interpretator zdusił tam miejscami artystę, może gdzieniegdzie pieścił się nadto szczegółami z pedantyzmem książkowego komentatora, ale na ogół kreacya gościa naszego miała duszę i nerwy i krew. Jedne mianowicie stronę Hamletowskiej istoty starał się artysta uwydatnić silniej niż którykolwiek z przedstawicieli tej roli, — mówię tu o arystokratyzmie duńskiego księcia. Hamlet Kotarbińskiego to wytworny patrycyusz o nerwach wydelikaconych, i niezrównanej „gentilezzy“. Jak on subtelnie markował pogardę swoją dla plebejuszowskiej pospolitości, jak nieuchwytną ironią akcentował każde słowo, gdy prześwidrował fałsz maskowany w otoczeniu swojem, z jaką uprzejmą wyniosłością umiał przemawiać do towarzyszy swoich, jak poufałość nawet zaprawiał protekcyonalnością pewną, jak wreszcie z najsłodszym uśmiechem i z galanteryą wielkiego pana dawał odprawę natrętom, — to w każdym calu znamionowało prawdziwie arystokratyczną naturę wytwornego magnata.

Jeżeli jednak ten Hamlet jako całość był niewątpliwie mistrzowską kreacyą, to przecież w jego tysiącznych kreskach i kreseczkach literackich utonęło gdzieniegdzie życie i dla tego, gdybym miał stanąć wobec pytania: „Hamlet czy Uriel? nie wahałbym się ostatniemu oddać palmy pierwszeństwa. Wprawdzie zadanie było tu łatwiejsze, wprawdzie i tu aktor zdradzał literata, ale tam tylko, gdzie filozoficzna zawartość roli niezbędnie tego wymagała, — po za tem Uriel Kotarbińskiego był drgającem, nie przefilozofowanem życiem, uniesieniem, cierpieniem. A głos artysty grał muzyką taką, jakiej scena nasza dawno nie słyszała. Czasem pieściwy jak szmer strumyka lub łkanie wiatru wśród liści, czasem jak grom potężny, czasem rozegrany w zgrzyt rozpaczliwy, czasem szorstki, ochrypły, wyszarpany. Widziałem na scenie poznańskiej kilku Urielów, lecz żaden z nich nie władał takiem czarnoksięstwem tonów. Jedni na nutę płaczliwą stroili całą deklamacyę swoją i w chwilach burzy napróżno w gardle szukali piorunów, inni w piersiowym szepcie grę pogrążali, subtelni lecz bezsilni, — Kotarbiński natomiast ma nieprzebraną siłę, giętkość i śpiewność w organie swoim, a nadto umie wierszem mówić tak pięknie jak żaden z artystów polskich. Zresztą zrozumiał dobrze nasz gość znakomity, że lubo bohater Gutzkowa nie wyleczył się jeszcze zupełnie z niemocy romantyzmu, to przecież nie jest również, jak niektórzy krytycy twierdzili — rozchwianym marzycielem. To dąb toczony niewątpliwie robakiem „Weltschmerzu“, ale zawsze d ą b, nie spruchniała wierzba, jak sądził Arnold Ruge i Julian Schmidt. Gra Kotarbińskiego pokrewną jest poniekąd interpretacyi Gottschalla i dla tego z jego Uriela bije siła wielka, nie roztopiona w mollowych tonach lecz rogata i skalista. Jedno tylko raziło mnie w obu kreacyach krakowskiego artysty: pewna akademickość ruchów, pewna patetyczność i szerokość w mimice. Realistyczna piła wyświadczyłaby tu właśnie Kotarbińskiemu znakomite usługi.

W. R.

Na Wyłomie.

(Odezwa „czytelni ludowych“. — Zgaszeni i wystudzeni. — Duszenie krytyki. — Tchórze i mamuty.)

Z rozpaczliwą odezwą zwróciło się do społeczeństwa nasze Towarzystwo czytelni ludowych. Kasa jego stoi pustkami, kredyt u księgarzy wyczerpany, zimowe wieczory nadchodzą, głos ludu woła o nowe książki, a nie ma za co ich kupić. Smutne wołanie, smutniejsze dziś, niż kiedykolwiek, bo gdy w posępnych mrokach stuletniej żałoby, zdawało nam się, że gdzieś w oddali błyska światło wielkie, któremu imię „lud oświecony“, dziś światło to grozi stłumieniem i bledną gwiazdy nadziei. A jeżeli duchy tych, co w długiej tragedyi narodu życie za ojczyznę kładli, u bram nowego stulecia staną i spytają: Z jakim dorobkiem, z jakim funduszem sił rozbudzonych i z jakim zasobem energii i poświęcenia przestępujemy próg wiekowej niedoli? — cóż im odpowiemy!

Zgaszone społeczeństwo! Pono to słowo ktoś rzucił nam w oczy, a odezwa czytelni zdaje się mówić zalęknionym głosem, że fałszem nie jest ten okrzyk. Spojrzyjmy tylko w około i wpatrujmy się pilnie w oblicze inteligencyi miejskiej i wiejskiej. Na mnie wywiera ona wrażenie takie, jakby starość dłoń zimną położyła na niej i stłumiła wszystkie ognie młodzieńcze; snujemy się po świecie senni, apatyczni, zgaszeni, a chociaż spełniamy pewne obowiązki narodowo, budujemy wały ochronne, powtarzamy hasła gorące, — czynimy to wszystko bez entuzyazmu, bez ognia, bez całej duszy i całego serca. Ot! odrabia się pańszczyznę dysząc, przystając i w starczem zniechęceniu załamując ręce. I tak ta robota się wlecze, popychana przez pracowników ospałych, z których jeden się na drugiego ogląda i rad gdy rękę niedbale położy na taczce, mówiąc z uśmiechem: „Pcham, pcham i wytężam siły“. Ci, co w grobie legli, może zanadto w duszach swoich nosili płomieni i w pożar nieraz iskry rozdmuchali, — ale milszą mi tysiąc razy ta umarłych entuzyastów drużyna, niż wy zimne, wygodne i egoistyczne episjerów społeczeństwo lub anemiczne epikurejskie o chorych nerwach i wygasłych sercach dekadentów filgrany.

Nie przeczę, że w tem minionem stuleciu narodowej niedoli ostrożność nasza, zabiegliwość, praca i oszczędność rozwinęły się na ogół pomyślnie, ale trudno zataić, że poczucie obowiązków publicznych, zapał dla sprawy nie wchodzącej w zakres osobistych interesów, e n e r g i a filantropii i patryotyzmu tępieć zaczyna. Starych i młodych starców coraz więcej, a choć niekiedy jakieś grzmiące „Gore“ zelektryzuje nas, porwie i siły uśpione rozbudzi, to wszystko po chwili znów się do snu układa i przez sen tylko wyrzuca wielkie słowa: Ojczyzna, obowiązek, oświata i t. d. Snu tego się lękam i z snem toczę walkę od początku istnienia Przeglądu, a skarga Czytelni to wtór potężny do naszych dzwonów na trwogę.

Jeżeli jednak szukamy winnych i społeczeństwo wystudzone przed sąd pozywamy, to w gronie oskarżonych stawiamy również zarząd „Towarzystwa“ i jego jańczarską straż bezpieczeństwa. Smutną tę sprawę poruszałem już kilkakrotnie, lecz warto ją przypomnieć dziś właśnie, gdy kierownicy „Czytelni“ stają przed publicznością z głośnym wyrzutem i rozpaczliwem słowem „Giniemy“. Nie łatwiejszego jak przed trybunał krytyki pozwać społeczeństwo i krzyknąć mu nad uchem: „Oto winowajca, który na śmierć głodową nas skazuje“, — ale uderzcie się w piersi, panowie kierownicy, i zapytajcie, czy istotnie wytężyliście wszystkie siły, aby rozbudzić śpiącą publiczność, zainteresować ją sprawą oświaty, spotęgować pracę i ofiarność. Walne zebrania, które raz jeden na rok zwołujcie, dostarczają w tym względzie nie mało materyału dowodowego. Raz jeden na rok! a mimo to w sprawozdaniach waszych skąpicie treści poglądowej, skąpicie pokarmu dla dyskusyi publicznej, — gdy zaś mimo to ktoś postara się o materyał dla żywej wymiany opinii, wnet wołacie głosem przerażonym że „ginie ład i porządek“, że hydra buntu głowę podnosi, że naszym „znanym, zasłużonym, w pracy posiwiałym“ mężom-kierownikom niedorostki rzucają rękawicę. Niech tylko w tej wielkiej komedyi apatycznej ciszy i kiwania głową, którą mienicie „Walnem zebraniem Towarzystwa Czytelni ludowych“ zjawi się ktokolwiek z słowem najlżejszej krytyki, wy w mgnieniu oka stawiacie wnioski o zamknięcie dyskusyi i stereotypowe „wotum zaufania“ dla nietykalnego zarządu. Przypomnijcie sobie tylko ów pamiętny fakt z ostatniego zebrania, ów gwałt zadany wolnemu słowu, gdy jeden jedyny ton polemiczny, ton krytyki myślącej, owianej serdeczną miłością sprawy publicznej, zjawił się w bezdusznem milczeniu. Wstaje młody adwokat i oparty na dowodach mówi jak brat do braci, jak ten co razem z wami pragnie pracować, razem z wami kocha lud i oświatę, że należałoby unikać wprowadzania do Czytelni ludowych francuskich romansów, obcych ludowi naszemu duchem, pojęciami, typami, że lepszą jest czysta, rodzima, choć mniej artystycznie przyprawiona

strawa, od nowellistycznych produktów bruku paryskiego — a wy? Szmer niezadowolenia budzi się przy wielkim ołtarzu, arcykapłani „ładu i porządku“ ruszają się niespokojnie na krzesłach swoich, a wreszcie zrywa się jeden z gerontów i mówi: „Stawiam wniosek o zamknięcie dyskusyi, a jako odpowiedź na krytyczną uwagę preopinanta drugi wniosek o wotum zaufania dla Zarządu.“ Przyklaśnięto, uchwalono, możemy spać dalej spokojnie.

Więc najlżejsza krytyka równa się potępieniu kierującej ręki, więc najuczciwsza rada jest ubliżeniem dla prezesów, sekretarzów, radnych i cenzorów — więc po co nas tam wzywacie panowie? Jest to terotyzm tego rodzaju, że musiałbym przekroczyć granice parlamentaryzmu, chcąc go dosadnio scharakteryzować, lecz wiem, że w razie powtórzenia tej marnej komedyi znajdą się niewątpliwie tacy, którzy dusicieli wolnego słowa nazwą po imieniu, wiem, że to ubieranie się w tiarę nieomylności, to umałoletnianie członków „Towarzystwa“ i wreszcie pewne zakulisowe sprężyny zniechęcają ludzi do „Czytelni“ i szkodę sprawie publicznej gotują.

A jest jeszcze trzeci i czwarty winowajca upadku tej instytucyi, którą do najwznioślejszych i najdonioślejszych w narodowem życiu naszem zaliczam. Odezwa mówi, że jednemu na imię: „Strach“, — ten strach grasujący coraz natrętniej w społeczeństwie naszem, strach karmiony starannie przez lojalną prasę, strach, co szmeru liści się lęka i zębami dzwoni, gdy pikelhaubę pruską zobaczy, — strach dyktujący bibliotekarzom „Czytelni ludowych“ zawieszenie czynności, aby nie zmarszczyć czoła landratów, komisarzy i żandarmów.

Wreszcie wypowiada „Odezwa“ dziwne słowo: „*Stwierdziliśmy, że wielu niechętnem okiem patrzy na czytelnie jako na źródła zbytecznej oświaty*“. Jakto! Więc nie wymarł jeszcze ten ród Mamutów, dla których oświata równa się truciźnie, dynamitowi, głowni grożącej pożogą, a przynajmniej fałszywym apetytem, zbytecznym balastom? Jakto? Więc ten ród Mamutów licznym jest jeszcze, jak mówi odezwa? Snać zarząd czytelni ludowych zebrał w tej mierze ciekawe doświadczenia, jeżeli mimo panujących u nas tendencyi przysypywania pudrem wzajemnej adoracyi każdej śmieszności, tak odważnie piętnuje troglodytyzm Księstwa. To piękny materyał do publicznej dyskusyi, więc niechaj Czytelnie ludowe nie kryją go przed okiem członków swoich w mgle ogólników, lecz wskażą wyraźnie miejsca pleśnią pokryte. Niech wre polemika, która życie rodzi, choćby ostrze jej dotknąć miało najzasłużeńszych bojowników wielkiego bractwa „ładu i porządku“. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

* **Nauka w domu.** Przewodnik dla wychowawców, napisała Aniela Szyc. Warszawa. Nakładem Arcta.

Brak fachowego wykształcenia pedagogicznego, zarówno jak brak doświadczenia, daje się odczuwać w bardzo przykry sposób wszystkim młodym matkom. Zmuszone kierować wychowaniem swych dzieci, pozbawione jasnego na pracę tę poglądu, — umiejętnych i na doświadczeniu opartych wskazówek, do zadania swego zabierają się po dyletancku i w najlepszym razie — tj. gdy im nie zbywa na dobrych chęciach i poczuciu własnej niekompetencyi, czerpią zkąd mogą dorywcze rady, stosując je bez metodycznego związku i bez konsekwencyi. Tym sposobem dzieci padają ofiarą luźnych eksperymentów pedagogicznych, a często nabywają złych przyzwyczajeń umysłowych, na których późniejsza nauka w zakładach publicznych cierpi, a których wykorzenić nie jest w możności. Powierzenie całkowitej edukacyi dzieci zdolnej nauczycielce zmniejsza niebezpieczeństwo, lecz go nie usuwa. Nauczycielka nigdy zupełnie samodzielnie dzieckiem nie kieruje, gdyż nikt nie przyznaje jej praw do zmienienia trybu domowego i narzucania otoczeniu takiej metody postępowania, którą za słuszną uznaje. Tylko współdziałanie rodziców i nauczycieli, porozumiewanie się i zupełnie zgodne postępowanie przynieść może w wychowaniu pożądane rezultaty. Dla tego też wszystkim matkom zarówno jak i nauczycielkom prywatnym gorąco polecamy książeczkę, której tytuł wypisaliśmy na wstępie. Jest ona zbiorem wielce pożytecznych wskazówek dla wychowawców, rad umiejętnych, na doświadczeniu opartych, wynikających z głębokiej znajomości natury dziecięcej i warunków życia większości dzieci. Autorka jej znaną jest w literackich i pedagogicznych kołach Warszawy, w której cenią ją wysoko jako „pedagoga z Bożej łaski“. Prócz bardzo rozległej praktyki pedagogicznej, której się z wielkim zamiłowaniem oddaje, zasługę jej stanowi nieustanna praca nad psychologią dziecka, do której wiele cennych spostrzeżeń i pożytecznych materyałów zbiera. — Postęp pedagogii nie polega, jak wiemy, na wygłaszaniu i rozwijaniu suchych teoryi ogólnych, recept i przepisów, które ślepo wykonywać należy, lecz na zastosowaniu pracy wychowawczej do jej materyału, do natury, temperamentu, skłonności i uzdolnień wychowańca. To też słusznie robi p. A. Szyc, gdy kilkakrotnie w książce swej pod adresem matek i nauczycielek z naciskiem powtarza radę: „*Obserwować, obserwować i jeszcze raz obserwować!*“ We wskazówkach swych uwzględnia najpowszechniej spotykane typy dziecięcych umysłów, zwraca uwagę na konieczność stosowania odpowiednich dla nich metod, kładzie słusznie nacisk na równomierny rozwój władz umysłowych, przyczem każe obok wykształcenia mieć nieustannie na oku fizyczne i moralne wychowanie. Szczegółowe wskazówki co do układania planu, zadawania lekcyi, przerw w nauce itp. mogą oddać cenne usługi wszystkim wychowawcom.

Ostatnie rozdziały książeczki poświęcone są metodyce nauczania poszczególnych przedmiotów. Znaczna część zamieszczonych tu rad wynika z ogólnych poglądów, wypowiedzianych poprzednio, — zbyteczna jednak dokładność w tym względzie nie zaszkodzi. Wielką wartość tej ostatniej części stanowi uwzględnienie najnowszych metod nauczania zarówno jak i najnowszych podręczników. Dla rodziców i nauczycieli, pragnących pracę swą zastosować do współczesnych wymagań pedagogii książka p. Szyc doskonałym może być przewodnikiem, zawiera bowiem tytuły wielu polecenia godnych dzieł wychowawczych i dobrych podręczników do nauki. *I. M.*

* * *

* **Brylanty Sembrich - Kochańskiej.** W Warszawie śpiewała Sembrich-Kochańska. W dziennikach posypały się pochwały dla głosu znakomitej śpiewaczki. Pochwały słuszne, usprawiedliwione, a więc żadnego zarzutu czynić im nie należy. Ale oprócz sążnistych pochwał dla głosu, okazały się i sążniste pochwały dla.... toalety.

„Brylanty nieocenione gardziołka Kochańskiej — pisze jeden ze sprawozdawców — dane było opisać szczęśliwszemu odemnie koledze, niechże mnie będzie wolno... opisać toaletę w wielkim stylu i te brylanty, co stanowiły ramy tak wspaniałej treści“. I następuje w wielkim stylu szczegółowy, bo blizko sto wierszy wynoszący, opis „ram wspaniałej treści“.

I są tacy, co mówią, że nam brak zamiłowania do sztuki, lub że wszystko bierzemy lekko, po wierzchu, ze wstrętem do poważnych badań i dokładności.

* * *

* **Studjum o teatrze.** P. Stan. Rzewuski napisał w „Gaulois“ studjum o teatrze niemieckim. Największe pochwały (pisze „Kuryer Warszawski“) autor artykułu oddaje teatrowi w Wiesbadenie i Wiedniu. Mówiąc o niemieckiej produkcji dramatycznej doby ostatniej, wpada Rzewuski w zachwyt przesadny, apoteozując najwątlejsze nawet dzieci współczesnej muzy niemieckiej.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Wiadomości społeczne i polityczne.** W praskiem ministerstwie stanu zarządzonem zostało śledztwo dyscyplinarne, mające wykazać, kto w ostatnich czasach złamał tajemnice dyskusyi, a mianowicie kto dostarczył dziennikom wiadomości o rozprawach ministerstwa nad ordynacyą wojskowych procesów karnych. — Wedle „Deutsche Med. Wochenschrift“ zaszło w r. 1894 w Niemczech w 157 miejscowościach 1004 wypadków cholery, z których 490 zakończyło się śmiercią. Śmiertelność wynosiła zatem 48,8 procent. — Niemieckie stronnictwo konserwatywne rozpoczęło znów agitacyę za znanym wnioskiem hr. Kanitza i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wniosek ten przyjdzie znowu pod obrady parlamentu. — W ubiegłą sobotę przyszło w parlamencie austryackim do powtórnych, a tym razem iście imponujących manifestacyi na cześć Lügera. Marszałek czuł się zniewolonym rozporządzić nawet opróżnienie pierwszej galeryi, tej, na której zasiada dystyngowana publiczność. Za parlamentarnej ery w Austryi fakt ten zdarzył się po raz 1-szy. Po Wiedniu krążą najdziwaczniejsze pogłoski. Mówią o przeniesieniu parlamentu do innego miasta, o rozwiązaniu rady państwa, o dymisyi gabinetu. Wieści te nie mają dotychczas podstawy, jedno jednak jest niewątpliwem, że sobotnie posiedzenie Izby było wielką, moralną klęską dla rządu. — Z Petersburga donoszą, że dzień koronacyi carskiej pary rosyjskiej został stanowczo naznaczony na dzień 12 maja starego stylu.

— **Teatr i muzyka.** W ubiegły czwartek wystąpił p. Józef Kotarbiński na poznańskiej scenie w dramacie Laubego p. t. „Hrabia Essex“. Gra krakowskiego artysty była przedziwnie piękną, ale otoczenie gościa naszego było tak skandalicznem, że nawet wyrozumiała i względna publiczność nasza zdobyła się dwukrotnie na manifestacyę sykania. Nie była to gra lecz bełkotanie. — Michał Bałucki wykończył nową komedyę p. t. „Sprawa kobiet“. — Niebawem wystąpi w Poznaniu znana pianistka warszawska p. Iwanowska-Zaleska i tenor Gąbczewski. — Najnowsza komedya Sudermanna p. t. „Das Glück im Winkel“ doznała w wiedeńskim Burgu średniego powodzenia. — Paryzki „Wolny teatr“ rozpoczął 24 zm. przedstawienia pod nową dyrekcyą Larochelle'a dramatem obyczajowym I. Caraguela: „Wprzód dym — potem ogień“. — Najsłynniejszy tenor angielski Ben Davies występuje gościnnie w Niemczech. — Eleonora Duse wybiera się z początkiem przyszłego roku do Rosyi i Austryi. W przejeździe potrąci prawdopodobnie o Poznań. — Na scenie lwowskiej ukaże się niebawem „Macbeth“ w nowym przekładzie Jana Kasprowicza. — Nowości teatru niemieckiego: Mischa „Sława pośmiertna“, Lothara „Pochwała kobiet“, Philippi'ego „Droga cierniowa“. — Sztuka T. Wolffa na tle romantycznem japońskiem p. t. „Tego nikt nie wie“ miała w Berlinie wielkie powodzenie. — Pan Juliusz Borowski złożył dyrekcyi teatrów warszawskich pięcioaktową sztukę p. t. „Bez wyjścia“. — Wagnerowskie towarzystwo z Bayreuth zjeżdża do Warszawy na gościnne występy. — Po zmarłym Al. Zarzyckim została nieznana kompozycya p. t. „Berceuse“.

Odpowiedzi Redakcyi.

— **Józefowi K.** Stałe korespondencye z zaboru rosyjskiego zaprowadzimy już w najkrótszym czasie.

— **M...wicz.** Korespondencya Pańska nadaje się do dzienników politycznych, dla których nawet będzie pożądanym materyałem. Dla naszego tygodnika jest nieodpowiednią.

— **Marya.** Sen, bezczułość i katalepsya hypnotyczna, a jasnowidzenie, elewacya, astralne ciała itd., to zupełnie odmienne pojęcia. Pierwsze są zjawiskami realnemi, drugie sztuczkami kuglarskiemi, obliczonemi na łatwowierność naiwnych. Gdyby oszust, napiętnowany w feljetonie zeszłego tygodnia, przestał był na demonstracyach hypnotycznych, nie występowalibyśmy przeciw niemu, ale ten „gracz“ prezentował nam niby jasnowidzące medya i plótł jak Piekarski na mękach o chiromancyi, o unoszeniu się w powietrze osób hypnotyzowanych, itp.

Za redakcyą odpowiedzialny Dr. Wł. Rabski w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.